

STANISŁAW HR. WODZICKI
WETERAN 1863 R.



Z UŁANAMI
CESARZA MAKSYMILJANA
W MEKSYKU

20 III 37

15-
24

Z UŁANAMI CESARZA
MAKSYMILJANA W MEKSYKU

THE UNIVERSITY OF CHICAGO
LIBRARY

STANISŁAW HR. WODZICKI

Z UŁANAMI CESARZA
MAKSYMILJANA
W MEKSYKU

WSPOMNIENIA OFICERA

KRAKÓW 1931

KSIĘGARNIA D. E. FRIEDLEINA

A. 10036

Biblioteka.
U.M.C.S.
w Lublinie



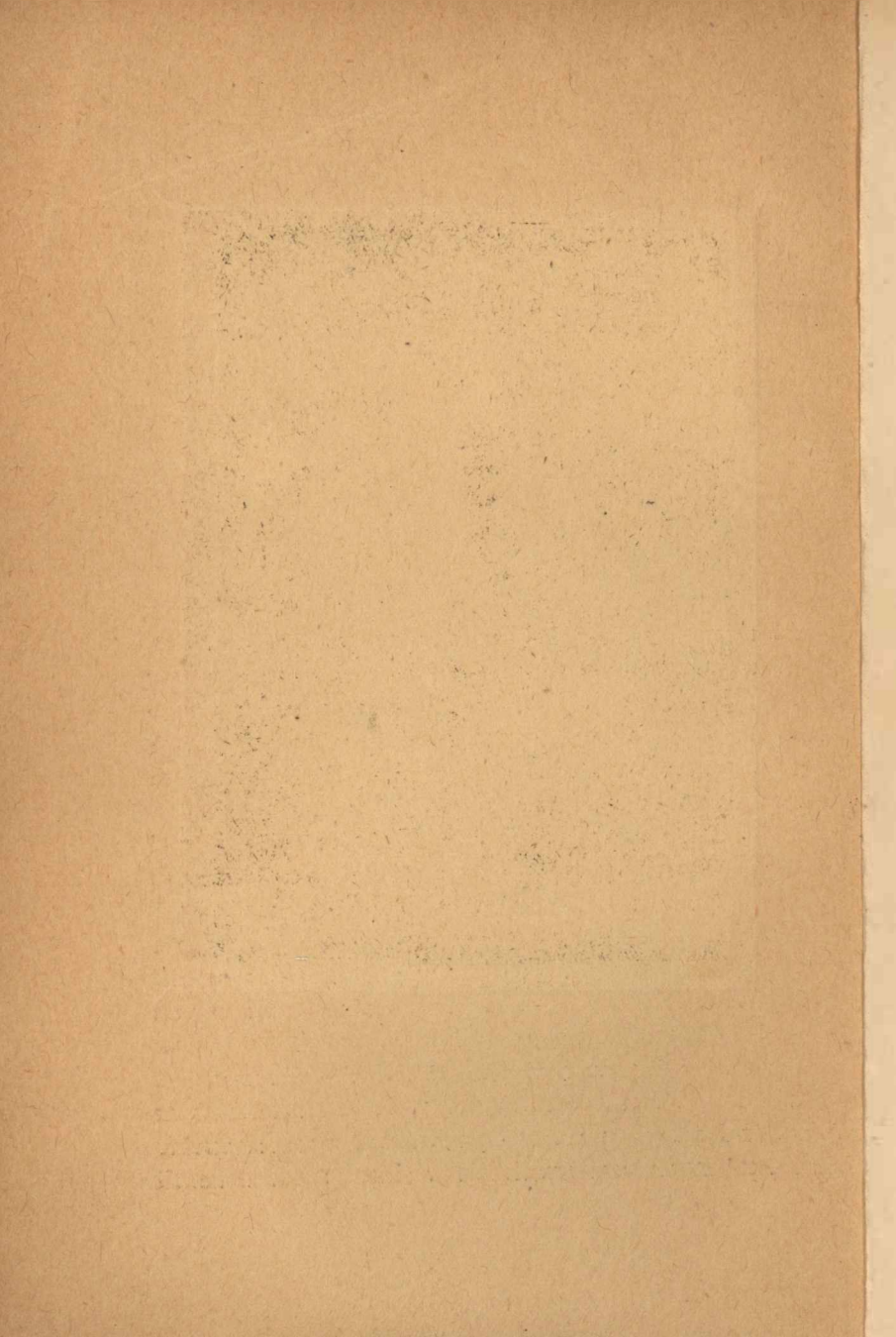
1000174996

Sheet 10a

K. 769 / 55 / 8



*por. Brinckmann, por. hr. Wodzicki, kad. Chevalier d'Hoop,
rotm. hr. Gueldern, por. hr. Maraviglia.*



ROZDZIAŁ I.

Nagła decyzja. Wstąpienie do wojska. Pożegnanie się z rodziną. Odjazd z Triestu.

Przeszło już kilka miesięcy, kiedy zniechęcony ostatnimi wycieczkami do Królestwa, prawie zawsze nie udanymi, schroniłem się do Rydzyny, majątku mojego wuja Ks. Augusta Sułkowskiego, aby zdala od upadającej ruchawki już niedającej się wyratować, spokojnie rozmyślać nad dalszym biegiem otwierającego się przedemną życia.

Mając rozliczne stosunki i pokrewieństwa w Wielkopolsce niedziw, że 19 marca 1864 roku znalazłem się w Rokosowie na imieninach mojego wuja Józefa Mycielskiego i kto by mi wtedy powiedział, że siadając do stołu w Rokosowie, już wieczorem tego samego dnia będę zupełnie zdecydowany opuścić kraj i rodzinę, aby się wybrać na drugą półkulę świata, temu byłbym zapewne oświadczył, że stracił zmysły. Jednakże tak się stało i dłuższego namysłu moje postanowienie nie potrzebowało. Wtedy to po raz pierwszy usłyszałem o Arcyksięciu Maksymiljanie, o jego wyborze na Cę-

sarza Meksykańskiego i werbowaniu oddziału ochotników w Wiedniu.

Miałem wtedy lat dwadzieścia, byłem żywy i polityką o tyle się zajmowałem, o ile się do naszych spraw odnosiła. Nadto po niefortunnych kilku wyprawach zbrojnych w 1863 roku byłem tak zniechęcony do sposobu w jakim prowadzono rzecz tak poważną, jak powstanie całego Narodu, że usunąłem się z widowni publicznej do Rydzyny i tam w spokoju przepędziłem zimę 1864 roku.

Po takich przejściach musiała mi się naturalnie uśmiechać awanturnicza wyprawa zaspakajająca równocześnie z jednej strony duszę zuchwałą, rwącą się do czynu, z drugiej zaś zawstydzoną niepowodzeniem narodowem. To też powróciwszy wieczorem do Rydzyny miałem już mocne postanowienie zwyciężenia wszystkich przeszkód i bądź co bądź zaciągnięcia się między ochotników dążących do Meksyku.

Nigdy z zasady długo nie myśląc, za zasadą Talleyranda, *ne suivéz jamais votre premier mouvement car c'est le bon*, wysłałem następującą depezę do mojego ojca: Życzę sobie wyjechać z ochotnikami do Meksyku, jadę temi dniami w tym celu do Wiednia. — Godne często zastanowienia to wysyłanie telegramu, aby w najlakońniczejszy sposób prawie zawsze najprzykrzejsze albo najboleśniejże wiadomości najprędzej przesyłać. Ta brutalna forma usuwa jednak wiele niedogodności i ma trochę podobieństwa do działania chirurgicznego, stanowczego a bez namysłu i zwłoki. Przedstawiałem sobie wrażenie mojego telegramu w ro-

dzinie: niedowierzanie, zapewne jakiś zawód miłosny doprowadził go do szaleństwa, słowem po naradzie rodziców wynikł następujący telegram: Niepozwalamy absolutnie. — To była oliwa do ognia, zresztą do przewidzenia w tym wieku, nastąpił też natychmiastowy skutek, gdyż po trzech dniach, nie namysłu ale uregulowania interesów i zapakowania rzeczy wyjechałem do Wiednia zawiadamiając o tem rodziców. Przyjechałem do Wiednia 29 kwietnia i na drugi dzień wieczorem portjer hotelowy już mi doniósł o przyjeździe mojego ojca. W Wiedniu ochłonąłem też trochę, bo przekonałem się, że nie tak łatwo zaciągnąć się, jak mi się zdawało, a jako prosty żołnierz niebyłem bardzo skory narażać się na wszystkie niewygody połączone z tym stanem, bo na oficerów brali tylko takich, którzy służyli w armji austriackiej. Mój ojciec jako człowiek rozsądny, widząc, że wszelkie odradzanie może tylko spotęgować postanowienie wyjazdu, wcale nieodwodził mnie od powziętego zamiaru, tylko starał się, by mnie przyjęto na ochotnika pod dogodniejszymi warunkami jak prostego żołnierza.

Bawił wtedy w Wiedniu stary przyjaciel mojego ojca, człowiek wielce wpływowy, szczególnie w sferach wojskowych, J. E. hr. Starzeński, do któregośmy zaraz poszli. Jego ta moja ochota wcale nie zadziwiła, przedstawił mi tylko wszelkie przykrości i niedogodności, które mnie spotkać mogą i zapewnił, że się postara, aby mnie jako kadeta przyjęto do pułku właśnie formujących się ułanów. Zaraz też wieczorem odebrałem od niego kartkę wizytową, z którą nazajutrz rano mia-

łem się udać do majora Kodolicza, któremu polecono zebranie korpusu ochotników meksykańskich.

Jakież było moje zdziwienie, gdy w osobie majora Kodolicza poznałem dawnego znajomego z czasów, gdy jeszcze jako porucznik huzarów garnizonujących w Prokocimie mnie i mojego brata, siedzących dumnie na kucykach, wyprowadzał na manewra, które nas zachwyciły. Ma się rozumieć, że wszystkie trudności zostały zaraz usunięte i dawny nasz przyjaciel zaprowadził nas do generała Thuna, który nam zaręczył, że z wielką przyjemnością przyjmie mnie jakò kadeta do pułku ułanów, trafem oryginalnym dowodzonego przez Polaka pułkownika Bertranda. Choć z pochodzenia francuskiego, był pułkownik Bertrand Polakiem rodem ze Lwowa, prawdziwym opiekunem swoich podwładnych i choć surowym i wymagającym, zawsze jednak chętnym każdemu przyjść z pomocą, byle by na to zasłużył. Zachowałem mu też do końca prawdziwą przyjaźń i szacunek.

Niemogę powiedzieć, że po dokonaniem już przedsięwzięciu tak gorąco upragnionem nieprzyszła chwila, nie rozczarowania, ale pewnego zastanowienia się i porównania, tego co na pewne tracę, a tego co mnie oczekiwac może. Lecz awanturnicze usposobienie wzięło górę i aby mnie nie posądzono, że mógłbym żałować czynu dokonanego, w wesołym usposobieniu wróciłem do Krakowa.

Zaraz po powrocie postarałem się o podoficera od kawalerji, aby mi dawał lekcje konnej jazdy w maneżu i uczył regulaminu służbowego, tak abym wcielony ja-

ko kadet do szwadronu już był dość wtajemniczony w arkana służbowe, by nie uchodzić za rekruta.

Przepędziwszy jak zwykle lato w Porembie, otrzymałem w początku września list od pułkownika Bertranda wzywający mnie na 15 b. m. do Lublany, gdzie się odbywała koncentracja korpusu ochotników.

Teraz dopiero nastąpiło pierwsze rozłączenie z rodziną i matką i dało mi przedsmak późniejszego prawdziwego rozstania się z rodziną.

Psychologicznych wówczas nie robiłem spostrzeżeń, lecz domyślałem się, jak wielkie musi być cierpienie rodziców, gdy oszołomiony życiem młody podłotek opuszcza gniazdo rodzinne. Obiecałem więc, że raz jeszcze przed ostatecznym wyjazdem powrócę ich pożegnać i wyjechałem do Wiednia w towarzystwie mojego ojca, który sam chciał mnie oddać w ręce generała Thuna, powierzając mnie jego opiece. Wieczór, żeby się rozerwać, przepędziliśmy u Państwa Hussarzewskich, dobrych naszych znajomych z Krakowa, gdzie poznałem moje kuzynki Jabłonowskie, z których jedna powabna Lina była właśnie zaręczona z Panem J. Hussarzewskim.

Niebyło końca zapytaniom, zdziwieniom, skąd mi taka dziwna myśl mogła przyjść do głowy, jaką było wybranie się na drugą półkulę świata.

W istocie w tych czasach podróże były dużo więcej utrudnione jak obecnie, wychodźtwa niezmiernie rzadkie i połączone z wielkimi trudnościami. Podróż nawet dla przyjemności ograniczała się na stereotypowych podróżach po Szwajcarii lub Włoszech. Komu-

nikacja z Ameryką była jeszcze nieznaczną i wymagała prawie dwa tygodnie czasu, a co do Ameryki środkowej i południowej szedł tylko parowiec z Nantes raz na dwa tygodnie, tak, że listy zaledwie po sześciu tygodniach dochodziły. Podmorskiego telegrafu jeszcze nie było. W takich więc warunkach każda taka podróż nieprzymusowa wydawała się co najmniej awanturniczą.

Nareszcie 17 września 1864 roku wyjechałem do Lublany w świcie jenerała Thuna, który zaraz w drodze przedstawił mnie dwom oficerom mojego przyszłego pułku kapitanom hr. Sternbergowi i Thornowi, jak również należącemu do naszego pułku, lecz osobistemu swemu adjutantowi br. de Fin.

W Lublanie na stacji oczekiwał mnie Łempicki, również jak ja rodem z Krakowa, syn kasztelana Łempickiego, którego równe do mojego usposobienie pchało na daleki zachód. Byłem mu niezmiernie wdzięczny, gdyż przybyły przedemną mógł dać mi wskazówki, czego się mam pilnować.

Nazajutrz o 10 z rana jak mi było przykazane, udałem się do koszar do mieszkania br. de Fin i opatrzony jego bilecikiem do kancelarji, gdzie mnie zapisano jako kadetę pułku ułanów i zaprzysiężono. Stało się więc i cofnąć się już nie mogłem. Wieczór zaś tego samego dnia w kawiarni, gdzie zbierali się kadeci, przedstawiłem im się jako nowy towarzysz. Oczywiście, że nie miałem nic spieszniejszego jak obstałować sobie mundur, który też nazajutrz z dumą wdziewałem. Przysłowie francuskie mówi, że ubiór nie robi mnicha,

zapewne, ale niezawodnie robi żołnierza i te państwa są rzeczywiście militarne, które niepozwalają zdejmować munduru nawet poza służbą. Mundur zniewala do szacunku osobistego, nadaje powagę i pewność siebie i kiedy później wskutek smutnego wyniku wyprawy przestałem ten mundur nosić, miałem uczucie jakby mnie okradziono, brakowało mi pewności siebie.

Zaczynałem moje życie żołnierskie. Nienależy myśleć, że wszystko w tem rzemiośle jest miłe i powabne, wcale nie. Najsamprzód trzeba było nocować w koszarach starych, przepelnionych różnego gatunku plugawem robactwem i cuchnących tak straszliwemi wyziewami, że dech tamowały. Ta pierwsza przykrość tem była dotkliwszą, że byłem przyzwyczajony nie do zbytku ale do wygody, rzuciła więc pewien cień na mój zapał i przekonała mnie, że są też ciernie między różami. Wstyd by było żalić się na taką drobnostkę, więc cicho siedziałem znosząc cierpliwie to, czego się sam nabawiłem.

Rano mustrowaliśmy się do dziesiątej, od dziesiątej do jedenastej wykladał nam major Kodolicz regulamin wojskowy i obowiązki żołnierza. Od tej godziny do wieczora byliśmy wolni. Żeby osłodzić początek naszego, jak dla nas, tak niezwyklego trybu życia, ja z kawalerem d'Hoop, jednym z kadetów, który najwięcej mi się podobał, wynajęliśmy sobie mieszkanie w mieście. Tam po wykładach szliśmy ubierać się, myć i potem zwykle na obiad na stację kolei żelaznej, gdzie po większej części zbierali się oficerowie i kadeci. Następnie na spacer w cudnych okolicach Lu-

blany, wieczorem zaś po teatrze wracaliśmy na opłakane noce do koszar.

Życie to względnie wygodne nie trwało długo. Czwartego października przyszedł rozkaz, abyśmy wy-maszerowali do Sittich, okolicznej miejscowości, dziu-ry w całym tego słowa znaczeniu, do której dotarliśmy oczywiście piechotą, o szóstej wieczorem zmęczeniu i głodni. Tam wyznaczono nam na kwaterę stare składy dawnego klasztoru. Mój pocciwy szef szwadronu, Anglik nazwiskiem John William Bythel, w porozumieniu z porucznikiem Brinckmannem, który do-wodził plutonem, w którym służyłem, ofiarowali mi, abym się do nich przeniósł, co też z wdzięcznością przyjąłem. W Sittich po zwykłych mustrach i lek-cjach, przepędzaliśmy czas po większej części jedni u drugich a w braku zajęcia, jak to zwykle bywa, skra-caliliśmy sobie czas, jak to wówczas była moda, olbrzymim djabełkiem.

Ledwie w kilka dni po naszym przybyciu przy-szedł rozkaz, aby z całego pułku wybrać najstar-szych żołnierzy, którzy w ilości jednego szwadronu mieli jechać naprzód przygotować nam kwatery w Meksyku. Między innymi był odkomenderowany porucznik Brinckmann, którego zastąpił por. hr. d'Ecqueilley. Nie znałem go wówczas, lecz wzbudził we mnie sympatję, która zdaje się była wzajemną, gdyż już w kilka dni później byliśmy w wielkiej zaży-łości. Raz też przeglądając u niego różne fotografie za-stanowiła mnie jedna przedstawiająca osobistość, która wydawała mi się znajomą, zapytany odpowie-

dział, że to jego ojciec, opowiadając równocześnie, że jadąc raz do Krakowa ojciec jego spotkał dwóch młodych Polaków, którzy go wybornie tam przyjmowali. Dziwnym zbiegiem okoliczności byłem to ja i mój brat Roman. To szczególne spotkanie jeszcze naszą przyjaźń wzmocniło.

Wkrótce jednak wzbudziła się we mnie tęsknota do kraju i zapragnąłem raz jeszcze powrócić do Krakowa. Pozwolił mi mój przełożony pojechać do Lublany i tam się wystarać o urlop. Trzeciego więc listopada udałem się do Lublany i zameldowałem do naszego pułkownika Bertranda, który zmuszony wyjechać tego samego dnia do Wiednia, polecił mnie swojemu adjutantowi, aby mnie przedstawił do raportu dywizji. W nieobecności generała Thuna sprawował w zastępstwie jego urząd stary pułkownik Lavigne, bezwzględny, gburowaty, który też pomimo przedstawień majora Kodolicza wręcz mi odmówił. Powróciłem do Sittich smutny, ale z nadzieją, że za powrotem pułkownika Bertranda otrzymam tak pożądaną urlop. I nie myliłem się w moich nadziejach, bo w kilka dni po moim powrocie otrzymałem list od adjutanta pułkowego, donoszący mi, abym się spieszenie udał do Lublany, korzystając z urlopu, który mi nareszcie dano. Z pośpiechem więc tego samego dnia odprowadzony na kolej przez por. d'Ecquevilley, wyjechałem do Krakowa mając tylko 11 dni urlopu.

Nie będę opowiadał mego pobytu w Krakowie, lecz to mnie zastanowiło, że drugie moje pożegnanie chociaż bardziej stanowcze, było mi znacznie mniej przy-

kre. Niezdając sobie sam sprawy widocznie zasnako-
wałem już w tem życiu awanturnikiem i przywiąza-
niu tak do pułku jak i do nowych moich towarzyszy,
związany węzłem koleżeństwa wojskowego dużo sil-
niej łączącym niż przypuszczać można.

Jeżeli jednak to pożegnanie było mi mniej przy-
kre, to wprost przeciwny był skutek u mojej matki. Ta
myśl odjazdu, oddalenia, zerwania wszelkiego porozu-
mienia, nakoniec i myśl o niechybnych spotkaniach
z nieprzyjacielem, wszystko to razem sprawiało jej
wrażenie ostatniego pożegnania. Ja zaś po chwilowem
rozczeniu wyjechałem z pewnem zadowoleniem, bo
już mnie ciągnęło do pułku. Przyznać też trzeba, że
zbiór oficerów naszego pułku był nadzwyczaj szczęśli-
wie dobrany pod każdym względem tak co do wycho-
wania jak i wykształcenia. Dzięki temu przez cały czas
mojej służby, starając się wypełnić dokładnie moje
obowiązki, nigdy nie byłem karany.

Wyjechałem z Krakowa 26 listopada 1864 r.
i udałem się wprost do Sittich. Lecz zaledwie tam do-
jechałem, doszedł nas rozkaz, aby natychmiast wyje-
chać do Triestu, przygotowani na wyjazd, mając
w kilka dni później już stamtąd odpłynąć. Miałem za-
ledwie czas zatelegrafować do moich braci, aby jak
było między nami umówione natychmiast przyjechali,
co też uskuteczнили i 4 grudnia w towarzystwie starego
hr. d'Ecquevilley przybyli. Piątego grudnia o 10 go-
dzinie z rana wyjechaliśmy pociągiem do Triestu.
Cały pułk ułanów, jeden szwadron huzarów i kompa-
nja piechoty. Wtedy dopiero zaczęły nam dokuczać

różnego rodzaju przykrości. Już było dokuczliwe zimno, a nas prawie jak bydło zamknęli w dużych dziedzińcach — obawiając się widocznie dezercji, dość że z największą biedą otrzymałem pozwolenie wyjścia na miasto do moich braci. O dziesiątej z rana 6 grudnia 1864 r. wsiedliśmy na pokład dużego angielskiego parowca, zwanego Peruvian.

Całe wybrzeże było przepelnione ludnością, czy to krewnymi, czy przyjaciółmi, bądź widzami przypatrzącymi się naszemu wyjazdowi, który też nastąpił z wolna przy odgłosie wojskowej muzyki.

ROZDZIAŁ II.

Wybrzeża Włoch. Gibraltar. Polowanie par force. Ofiara burzy. Martynika.

Zaraz po naszym odplynięciu zeszedłem na dół, aby oglądnąć naszą instalację, lecz zaduch i nieznośne powietrze wnet mnie na pokład wypędziły.

Oko ścigało jeszcze przepyszne wybrzeża Triestu i z boku nużające się w morzu Miramar, póki wszystko nie rozplynęło się w falach.

Wkrótce zadzwoniono na obiad i wtedy dopiero przekonałem się, o ile wszystkie przyrzeczenia były łądzące, gdyż nam kadetom wręcz oświadczone, że mamy się zadawałniać strawą żołnierską, to jest mięsem solonem z grochem i sucharami, tak twardemi, że trzeba było je o łokieć lub kolano rozbijać i w wodzie maczać by je przegryźć.

Kilka dni wytrzymałem tę strawę, wstydząc się skarżyć, wiedząc zresztą, że skarga na nic się nie przyda. Ostatecznie byliśmy żołnierzami a jeżeli z lepszym wykształceniem, czy niepowinniśmy dawać do-

brego przykładu? Wziąłem się atoli bez daremnych narzekań na sposób.

Komisarz okrętowy, zarządzający wszystkim, co tylko do utrzymania pasażerów należało, był Francuzem. Wychowany we Francji, posiadałem ten język, jak rodowity, to też udawał się wciąż komisarz do mnie, abym mu służył za tłumacza, stąd też powstała między nami pewna zażyłość, z której skorzystałem. Dowiedziawszy się, że różnica stołu między żołnierskim a oficerskim wynosi 125 fr, nakłoniłem go, by mnie i drugiego kadeta hr. de la Motte przypuścił do stołu oficerskiego za zapłatą różnicy od każdego. Z drugiej strony pocziwy d'Ecquevilley widząc w jak ohydny sposób byliśmy zakwaterowani, pod pokładem jak śledzie w beczce, za zgodą oficerów mieszkających z nim ofiarował mi, abym zajął szóste łóżko, przypadkowo puste w ich kajucie. Z radością i wdzięcznością przyjąłem jego propozycję i od tego czasu podróż moja stała się nie tylko znośną, ale zupełnie przyjemną. Niegębiony wciąż głodem i cuchnącymi wyziewami, mogłem korzystać z cudnego widoku, przesuwającego się wciąż przed moimi oczami, płynęliśmy bowiem wzdłuż wybrzeży Włoch, których pyszne okolice jak panoramy rozciągały się przed nami. Szczególnie przy zachodzie słońca promienie mieniające się i odbijające się w lazurze morza, później krwawymi blaskami oświecające szczyty gór, były wprost czarujące.

W nocy opłynęliśmy przylądek Otranto a przez dzień zatokę tego imienia. Pod wieczór dopiero

wstąpiliśmy do sławnej cieśniny Messyny, która na sławę istotnie zasługuje przepychem roztaczających się widoków. Po lewej naszej stronie, trochę w tyle, wznosiła się groźna Etna, buchająca czarnym dymem, na prawo brzegi Kalabrii, przed nami Messyna, cudna, biała jak narzeczona, wypływała zwolna wśród niebieskich fal morza. Co za obraz, co za koloryt. Na pierwszą moją podróż zamorską co za widoki i to jedne po drugich wciąż mieniające się jak w cudnym kalejdoskopie. Przy przejeździe przez cieśninę mieliśmy oprócz tego jeden ciekawy i pyszny obraz z widowisk natury. Nad Etną i brzegami Sycylii zerwała się gwałtowna burza z piorunami i grzmotami, gdy na morzu i wybrzeżach Kalabrii panowała śliczna pogoda.

Nad rankiem przepłynęliśmy przed Palermem, lecz deszcz i zimno spędziły nas z pokładu. Ku wieczorowi Sycylja zginęła nam z oczu, my zaś żeglowaliśmy wprost ku wybrzeżom Afryki, której kontury lekko się nam zarysowały dopiero dwa dni później.

Pierwszy raz jak się znalazłem na pełnym morzu niewidząc nic prócz nieba i wody, nie ogarnęło mnie to uczucie przygnębiające, o którym tyle wspominają. Może horyzont wskutek mgły był ścięśniony, dość, że co do mnie efekt był stracony.

Do tej pory mieliśmy prześliczny czas, teraz dopiero wzniosł się silny wiatr zmieniając się niekiedy w huragan, który nas do samego Gibraltaru dręczył, rzucając nas z brzegów Afryki na wybrzeża Hiszpańskie. Choć na morzu Śródziemnym, wiatr jednak był tak silnym, że pędził przed sobą ogromne fale, które

raz w raz zalewały pokład. Zamknięto na pokładzie wszystkie otwory, stąd zapach nieznośny, wydobywający się z głębin okrętu, zatruewał powietrze. Niebyło wyjścia, albo dusić się pod pokładem, albo moknąć na pokładzie. Ma się rozumieć, że wybrałem moknięcie, będąc niezmiernie ciekaw widzieć rozszalałe morze. Bo było też na co patrzeć. Góry z wody groziły za każdym razem zalewem naszej małej skorupie, bo istotnie wśród tej olbrzymiej przestrzeni wyglądał nasz okręt jak nędzna skorupka na sadzawce. Podziwiałem też naszego kapitana, który wśród hałasu i huku rozwścieczonego elementu zachowywał najzimniejszą krew i przechadzał się po moście w największym spokoju, doglądając sam wszystkiego. Ta burza spóźniła nasz przyjazd do Gibraltaru o trzy dni i morze uspokoiło się dopiero, gdy wjeżdżaliśmy do zatoki. Samą fortecę doskonale można było widzieć, gdyż przypływając z Śródziemnego morza okrąża się ją całą, broni bowiem wjazdu do cieśniny.

Wpłynęliśmy do zatoki już ze schyłkiem dnia zarzucając kotwicę w odległości ćwierć mili od portu. Właściwego portu jak w Trieście niema w Gibraltarze, jest tam tylko przystań. Nazajutrz wolno było tylko oficerom udać się na ląd. Żadnemu kadetowi ani podoficerowi niedozwolono wylądować. To też cały dzień spędziliśmy oglądając z daleka tę słynną fortecę. Robi ona niesłychane wrażenie, szczególnie gdy się wie, że cała olbrzymia skała, górująca nad miastem jest wewnątrz wydrążona i pochyłymi korytarzami z dołu do góry połączona. Istne kretowisko Tytanów. Drugiego

dnia na nasze nalegania pozwolono kadetom wylądować, ale pod absolutnym warunkiem powrotu na okręt przed zamknięciem portu. Każdego dnia o 6 wieczór strzał armatni oznajmia zamknięcie miasta i portu i od tego czasu do 6 z rana niewolno nikomu ani wchodzić ani wychodzić do i z obrębu miasta. Wolność przysłowiowa angielska nie obowiązuje na cudzym gruncie.

Radość uczucia mieć coś innego pod nogami jak marnych kilka desek wywiała z głowy daną obietnicę i co do mnie całe siedem dni, które statek w zatoce spędził pozostałem w mieście.

Gibraltar byłby wcale przyjemnym miastem, żeby nie ohydny bruk i ciasnota ulic, zato ogrody przedmieść i na stokach skał są prześliczne. Było to dnia 17 grudnia, a najcudniejsze kwiaty kwitły w gruncie, trawniki zaś wyglądały jak zielone aksamitne dywany.

Oficerowie angielscy byli dla nas pełni uprzejmości, zapraszając na obiady do ich mess, a przy końcu naszego pobytu wydali na naszą cześć polowanie par force na lisy.

Kilku więc z nas wynajęło konie i wyjechaliśmy nad rankiem do wsi della Rocca, już w Hiszpanji położonej, gdzie miało być rendez-vous, a oddalonej o jakie 8 kilometrów. Tam zastaliśmy już kilkudziesięciu jeźdźców, wszystkich w czerwonych frakach i kilka amazonek. Do tego różnorodność naszych uniformów przedstawiała śliczny obrazek. Pierwszy lis ruszony przez psy, uciekł nam. Szczuliśmy w terenie dość trudnym, lecz następnie drugiego, już w tak ciężkim, że tylko tamtejsze konie mogły za psami dotrzymać.

Był to teren falisty i skalisty, okryty tak wysokim i gęstym wrzosem, że dotykał nam prawie butów, a konie niewidziały gdzie stąpać. Nie obeszło się też bez licznych koziołków mimowolnych i tu i ówdzie można było widzieć konie luzem biegnące za polowaniem. Wskutek tego do hallali dojechało tylko dwóch Anglików, jedna amazonka, hr. Metternich i ja. Niemając swoich koni, musieliśmy wynajmywać je u przedsiębiorców i tu dopiero zmiarkować można było, jak polowanie par force jest sportem narodowym. Najbardziej taniość wynajmu, bo jeden funt sterling, następnie jeździec, jeżeli mu się wypadek trafi, że koń złamie nogę lub zginie, jest tylko obowiązany dostawić siodło i trzcielę właścicielowi bez jakiegokolwiek innego wynagrodzenia. Miałem doskonałego konia i nie oszczędzałem go wcale, a pomimo widocznego zmęczenia, właściciel ani słowem nie ujawnił swojego niezadowolenia.

W wilję naszego wyjazdu drugi okręt transportowy, nazwiskiem La Vera-Cruz, który dzień po nas wyjechał z Triestu, dogonił nas. My zaś 22 grudnia 1864 r. o 5 wieczorem wypłynęliśmy z zatoki na pełny ocean w drodze ku nowemu światu.

Słońce zachodzące oświetlało promieniami purpurowymi wybrzeża Afryki z jednej, a Hiszpanji z drugiej strony, oświecając dwie rywalki Ceutę i Gibraltar, które powoli ginąc w zmroku wieczornym, żegnały nas w imieniu starego świata.

Pod wrażeniem tego czarującego widoku, będąc właśnie przy stole, wyszliśmy na pokład i z kielichem

w ręku żegnaliśmy każdy swoją Ojczyznę, rodziców, przyjaciół, każdy z skrytą nadzieją, że przecież raz jeszcze do nich powróci.

Młodość, co za niezwalczona siła. Jaki zapas niewyczerpanej energii i nadzieji. Pomyśleć, że trzy czwarte z nas wszystkich niepotrzebowało wcale wyjeżdżać z kraju, że nas nic niezmuszało, a jednak z lekkomyślnością nieporównaną gnała nas młodość daleko od gniazd rodzinnych.

Zaraz wypływając z cieśniny na ocean, zaskoczyła nas burza lecz dużo gwałtowniejsza od poprzedniej, trwała trzy dni i była przyczyną bolesnego i tragicznego wypadku. W wilgę Bożego Narodzenia kołysanie okrętu było tak silne i splukanie pokładu bałwanami tak częste, że surowo zakazano wyjścia na pokład, chociaż poręcz okalająca okręt była bardzo wysoka. Jeden z naszych ochotników, nazwiskiem Karol Kamiński, nie usłuchał zakazu i wyszedł na pokład. W tej samej chwili kolosalny bałwan zmiotł go z pokładu i tylko jeden przeraźliwy krzyk oznajmił nam zgon nieszczęśliwego. Okręt stanął, puszczone ratunkowe świetlane beczki, lecz napróżno. Kapitan nam oświadczył, że spuścić łódź ratunkową było niepodobieństwem i narażeniem ludzi na niechybną śmierć, gdyż fala byłaby ją natychmiast rozbiła. Zatrzymawszy się więc chwilę tylko i to narażając się, popłynęliśmy dalej, opłacając zaraz na wstępie daninę śmierci, tej nieodstępnej towarzysze życia, której niejednen z nas miał jeszcze paść ofiarą.

Działo się to mniej więcej na wysokości wyspy Madery, której z powodu gęstej mgły i jeszcze bardzo burzliwego morza, prawie niewidzieliśmy. Żeby biednych żołnierzy, cierpiących straszliwie z powodu choroby morskiej i z niewygód różnego rodzaju trochę rozweselić, urządziliśmy dla nich loteryję. Było dla tego niezmiernie zabawnie, że okręt kołysząc się bardzo gwałtownie, rzucał ich z jednego burtu okrętu na drugi i przewracał wszystkich tak, jak przez dzieci ustawiane karty. Jak runął jeden szereg, szedł za nim drugi, stąd śmiechy, które biednych tych ludzi rozweselały. Wkrótce też morze się uspokoiło, słońce zaświeciło, lecz tak jak w życiu, nowa przykrość zaraz zastąpiła pierwszą. Powodem tej przykrości było gorąco, które w krótkim czasie przybrało nieznośne rozmiary, trzeba było nad pokładem rozciągnąć płótna chroniące od żaru słonecznego, bo w cieniu termometr znaczył 26° Rm., a dziegieć spajający deski pokładu topniał. Kajuty dawały przedsmak piekła, bo okręt żelazny, rozpalony dzień cały, był wieczorem gotowym piecem do użytku. Aby się więc ochronić od takiego smutnego losu, być żywcem upieczonym, brałem materac na plecy i wynosiłem się na pokład, gdzie przy chłodniejszym powiewie nocnego wietrzyku spałem smacznie, lecz za krótko, bo już o 4 z rana myto pokład za pomocą silnego prądu wody, a majtkowie okrętowi nie mieli większej zabawy, jak zaskoczyć nieszczęśliwego smacznie śpiącego i oblać go wraz z pościelą olbrzymim prądem wody. Żeby uniknąć tej nieodpowiedniej kąpieli wyniosłem się do jednej z łódek wiszących

zawsze wokoło okrętu i tam do naszego przyjazdu do Vera-Cruz przepędzałem nocę.

W środę 29 grudnia przepełnęliśmy zwrotnik Raka i gorąco znacznie się wzmogło. Żeby uczcić rok nowy, w który wstępowaliśmy i który niejednemu stawał na myśli różne niewesołe przyszłe przygody, którymi miał nas obdarzyć, żołnierze chcąc się trochę zabawić, dawali nam przedstawienia teatralne, złożone z różnych wiedeńskich fars bardzo udatnych.

Poza zwrotnikiem spotykaliśmy dużą ilość latających ryb, jedna nawet spadła nam na pokład. Była posrebrzana i co do wielkości podobna do śledzia, miała długie płetwy w rodzaju skrzydeł konika polnego. Te płetwy służą im gdy są ścigane do utrzymania się nad powierzchnią morza przez dłuższą przestrzeń i w ten sposób zacierają ślad przed ścigającym nieprzyjacielem. Gdy się z wody zrywają, wyglądają jak stado kuropatw, ciągnących ponad zieloną murawą.

O piątej z rana 8 stycznia dopłynęliśmy do Martyniki i wjechaliśmy do małego portu miasta Fort de France. Teraz byliśmy już w nowym świecie, gdyż całkiem inna przyroda przedstawiała się naszym zdziwionym oczom. Drzewa, krzewy, wszystko było inne, nawet ludzie sami odmiennej barwy. Cała bowiem ludność Martyniki składa się przeważnie z murzynów i mesticów, biali zaś, to jest Europejczycy, z powodu zbyt gorąca pokazują się tylko po zachodzie słońca. Autochtonów już dawno niema. Murzyni ci, są to potomkowie sprowadzonych dawniej z Afryki niewolników przez francuskich kolonistów. Uwolnieni

przez rewolucję francuską stanowią teraz dziwną ludność krajową, posługującą się językiem podobnym do francuskiego, a właściwie rodzajem żargonu.

Ledwieśmy kotwice zarzucili, zostaliśmy otoczeni chmarą murzynków, wspinających się po linach i krawędziach okrętu na pokład i odskakujących zpowrotem w morze jak spłoszone żaby za przybyciem byle jakiego majtka, niedozwalającego im pozostania na pokładzie. Cały ich przemysł polega na zabawianiu podróżnych nieporównanem nurkowaniem. Niebyło wypadku, aby nawet drobny pieniądz rzucany z pokładu im kiedykolwiek przepadł, niemając zaś kieszeni, będąc nadzy, chowają w usta złowioną zdobycz. Dziwić się należy odwadze tych smarkaczów, pływających spokojnie wśród morza znanego z wielkiej ilości rekinów.

Dla zdrowia ogólnego i żeby wytchnąć po ciężkiej podróży, wylądowaliśmy i tamtejszy gubernator odstąpił nam fort, nazywany Fort-Bourbon. Co do mnie, pod pozorem, że będę służył za tłumacza, udało mi się zostać przy moim rotmistrzu i razem z nim zakwaterowaliśmy się w hotelu miejscowym. Fort de France jest mięsciną 5 do 6000 mieszkańców. Wszystkie domy z wyjątkiem gubernialnego, są budowane z drzewa, nie mają ani drzwi, ani okien, zastępują je żaluzjami. Ogrody cudowne otaczają prawie każdy większy budynek, ochraniając je przed skwarem słonecznym. W środku głównego rynku stoi posąg cesarzowej Józefiny, jak wiadomo rodem z Martyniki.

Wieczorem zeszliśmy się wszyscy do hotelu Augustin na obiad, gdzie nam wcale dobrze dano jeść. Desser największą wzbudził ciekawość, był bowiem złożony z samych podzwrotnikowych owoców.

Żeby do tego przedmiotu już później niewracać w toku opowiadania, opiszę szczegółowo każdy owoc tak, jak mi się on wydawał, nie wkraczając bynajmniej w dziedzinę pomologii.

Pierwsze miejsce zajmuje banan, jako owoc najpożyteczniejszy. Wygląd ogórka dojrzałego, rośnie dużymi gronami na drzewie. Łuska miękka łatwo się zdejmuje, owoc zaś sam choć mączny, ma bardzo delikatny smak. Często banana, jeszcze niedojrzałego, smaży się i jest wtedy jako jarzyna używany, zastępuje nasze kartofle.

Orzech kokosowy, już obecnie w Europie dobrze znany, jest mdły. Sok w nim zawarty podobny do orszady tylko bardzo słodki.

Jabłko Cythery, przynajmniej tak tam nazwane, jest kształtu dużego jaja, koloru zaś brudnawo-żółtego. Pestka wygląda jak pestka brzoskwini, jest najeżoną kolcami i otoczoną miękiszem jasno żółtym, bardzo smaczna.

Sapotilla ma kształt i widok kartofla, zgnieciona między palcami otwiera się, przedstawiając wnętrze zgniłej gruszki, jest też jak dla mnie niesmacznym owocem.

Granada chińska jest wybornym owocem odświeżającym. Skorupa podobna do granady europejskiej, równie twarda i tego samego zabarwienia, nato-

miast wewnątrz jest pięknego zielonego koloru i co do smaku przypomina smak agrestu, lecz nierównie lepszy.

Mango słynie jako najlepszy owoc podzwrotnikowy i jest nim rzeczywiście, lecz trzeba się do niego przyzwyczaić, bo traci lekko terpentyną.

Sapota, podobna do sapatilli z zewnętrznego wyglądu, jest jednak cztery razy większą. Sama pestka jest wielkości pięści, a mięso koloru czerwono-ognistego, nie wszystkim się podoba i słusznie.

Owoc kaktusu czyli figa indyjska jest powszechnie znaną. Bardzo ostrożnie trzeba ją zbierać, bo jest naszpikowaną ostremi kolcami. Z powodu świeżości podczas upałów niezmiernie pożądanym owocem.

Resztę owoców, jak różne gatunki cirimoni, są wyborne. Limony czyli słodkie cytryny, melony i ananasy są wszędzie rozpowszechnione. Oprócz tego wszystkie gatunki naszych owoców są też aklimatyzowane.

Ciekawem jest jeszcze drzewo, którego owoc nazywają aguacate, który można użyć jako masło. Często też w braku masła, co w ciepłych krajach często się zdarza, używałem ten owoc do różnych potraw mięsnych i wcale nie zdradzał swojego pochodzenia roślinnego.

Wracam teraz do dalszego opowiadania.

Podczas obiadu urządziliśmy zamierzoną wycieczkę na drugi dzień do kolonisty, mieszkającego mniej więcej o 4 kilometry od Fort de France. Więc rano o 7 byliśmy już w drodze pod zasłoną cudnej zwrotniko-

wej wegetacji, chroniącej nas już o tej godzinie od skwaru słonecznego, do którego niebyliśmy przyzwyczajeni. Bardzo uprzejmie przyjęci, oprowadzał nas gospodarz po swoich plantacjach cukru, kawy i bawełny. Są to główne produkta Martyniki.

Z powrotem do domu pokazał nam niezmiernie dużego jadowitego węża, którego w wilję zabił pod łóżkiem żony. Z tego też względu Martynika uchodzi za bardzo niebezpieczną. Po zachodzie słońca prawie niepodobna bez narażenia życia wychodzić bez pochodni.

Po trzech-dniowym pobycie, serdecznie ugoszczeni przez oficerów francuskich, opuściliśmy tę uroczą wyspę. Tamże poznaliśmy starego emigranta z 1830 r. pana Łopatę, który się nam wydawał trochę więcej jak oryginałem. Jedenastego stycznia 1865 r. przeprowadzeni przez doświadczonego sternika wyjechalismy, omijając przy jego pomocy wielką ilość raf, które z wszystkich stron otaczają port.

Wyptywając na pełne morze spotkaliśmy okręt stojący na kotwicy daleko od brzegów, który dopiero w wilję był przyjechał po pięciodniowej podróży z Kuby. Cała załoga oprócz jednego majtka i kapitana zginęła na żółtą febrę a ci dwaj nieszczęśliwi zmarli nazajutrz w szpitalu miejskim. Oto straszny przykład spustoszenia, które ta choroba wyrządza na wybrzeżach środkowej Ameryki.

Z Martyniki do Vera-Cruz podczas dziesięciodniowej podróży mieliśmy najspokojniejsze morze, chociaż w osławionej zatoce Meksykańskiej panują

straszne burze nazwane norde, prawdopodobnie od silnego północnego wiatru, który je powoduje. Korzystaliśmy też nadzwyczajnie z pogody, przepędzając noc, szczególnie jasne i piękne na pokładzie, wpatrując się w ognisty ślad ciągnący się daleko za okrętem podobny do drogi mlecznej na gwiazdzistym sklepieniu nieba.

Ośmnastego stycznia ku wieczorowi ujrzeliśmy brzegi Ameryki rysujące się w oddaleniu. Widok ten obiecaney dla nas ziemi wzbudził we wszystkich głębokie wrażenie. Co żyło, było na pokładzie, cisza panowała ogólna, znać każdy rozpamiętywał przeszłość i witał w zadumie tajemniczą przyszłość. Nastrój poważny podniecił jeszcze widok wprost imponujący swemi niezwykłemi rozmiarami, przedstawiając naszym zachwyconym oczom słońce zachodzące w tej właśnie chwili za samym szczytem Orizaby, wyglądające jak ogromny płomień buchającego wulkanu.

Przypuszczam, że Columb dopływając do nieznanych brzegów byłby takie zjawisko wyzyskał, wlewając otuchę w serca swych towarzyszy. Nasi objawiali swą radość jak mogli, że nareszcie po 43-dniowej podróży dobijają do przystani.

Wieczorem wjechaliśmy do zatoki nie przybliżając się do wybrzeży z powodu licznych podmorskich raf koralowych podlegających częstym zmianom, a niebezpiecznych dla żeglarzy. Dopiero nazajutrz okazała się nam zatoka Vera-Cruz w swej całej wspaniałości, z wyspą San Juan de Uloa w środku, jako fortecą broniącą miasta, która też oznajmiła nasz wjazd strzałem armatnim.

ROZDZIAŁ III.

Vera-Cruz. W drodze w głąb kraju. Garnizon w Puebla. Na północ za bandytami. Z depeszami w stolicy.

Jak tylko zarzuciliśmy kotwicę dobiła z brzegów do nas łódka z generałem Thunem i kapitanem Thornem, którzy nas wyprzedzili, by wszystko na nasze zakwaterowanie przygotować. Jak tylko przybyli zaraz się zajęło naszym wylądowaniem już naprzód obmyślanem i które się w bardzo szybki sposób odbyło. Ładowano nas w liczbie pięciu do dziesięciu na płytkie tratwy holowane małemi parowcami, które mogły do brzegów dobić. Zaraz po lądowaniu szliśmy oddziałami przez całe miasto do przeznaczonych koszar. Oglądaliśmy się też ciekawie na widok tak nowy jaki nam przedstawiała Vera-Cruz.

Wygląd ma smutny, nadewszystko brudny i ma się uczucie, jakby miasto było nawiedzone zarazą, co też jest istotnie, gdyż trzy czwarte roku panuje tu żółta febra, nazwana vomito negro, niedarująca żadnemu cudzoziemcowi nieurodzonemu w samem mieście lub jego okolicach. Opowiadają też, że żony bo-

gatyh przedsiębiorców i bankierów, których częsty pobyt w mieście jest koniecznością, zjeżdżają do Vera-Cruz na połogi, aby dzieci urodzone w mieście później uchronić od tej strasznej choroby.

W koszarach zastaliśmy naszych towarzyszy, którzy nas byli wyprzedzili, opowiadających nam różne już doznane przykrości i rozczarowania. I tak, koni dotąd nie było i zanosilo się na to, żeśmy mieli drogę do Puebli odbyć piechotą, co nam się wcale nie uśmiechało. Po drugie spodziewali się żołnierze, że im płacę podwyższą, co także nie nastąpiło, tak, że kwasy były z samego początku. Nam zaś, kadetom, ulokowanym razem z żołnierzami, było bardzo niewygodnie.

Przechadzając się z moim kolegą Stuartem, spotkaliśmy naszego kapitana, który nam oświadczył, że mając jedno wolne łóżko, tylko jednego z nas do swojej kwatery mógłby zabrać, jeżelibyśmy sobie tego życzyli.

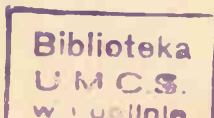
Ciągnęliśmy węzełki i los mnie nim obdarzył, lecz równocześnie kłopotem, myśląc bowiem naiwnie, że łóżko należy do kwatery kapitana, byłem mocno rozczarowany, gdy mi za nie liczone po jednym piastrze dziennie. Nadto przed wyjazdem umieściłem w kasie pułkowej cały mój fundusik, a kasa ta została w Lublanie. Byłem więc w krytycznym położeniu, bo trzeba było płacić za utrzymanie na okręcie i za jedzenie codzienne, niemając nic przy duszy, raczej w kieszeni. W takich tarapatach przedstawił mi porucznik naszego pułku Suchodolski następu-

jący sposób wyjścia z dokuczliwego położenia. „Ponieważ koni nie dostaniemy do Puebli, więc ci, którzy posiadają siodła, będą je chyba na plecach nosili, albo się ich doczekają za kilka miesięcy, kiedy nadejdzie główny transport bagażów. Sprzedaj mi więc pan swoje siodło“. Zgodziłem się, tem łatwiej, że mi moja golizna okrutnie dokuczała i za 50 piastrów puściłem siodło, zyskując w ten sposób swobodę zaspokojeniem długów. Humor oczywiście odrazu się odmienił i poszedłem w towarzystwie kilku kolegów nad morze przyglądać się wspaniałemu widokowi spiętrzonych fal rozbijających się o wybrzeża, gnane szalonym wiatrem przez osławiony norde. Przy tej sposobności oglądaliśmy z podziwem manewry ogromnych pelikanów w poszukiwaniu za żerem. Krążyły wysoko nad morzem, chwilę stawały nieruchome, następnie zwijając skrzydła spadały błyskawicznym impetem w otchłań morza, skąd po chwili wypływały z pełnym gardzielem i ciężkim lotem dobijały do murów okalających miasto, aby tam spokojnie swoją zdobycz spożyć.

W Vera-Cruz pierwszy raz asystowałem egzekucji różg, jeszcze wtedy będącej w zwyczaju w wojsku. Dwa dni w tygodniu były na wykonanie tej kary przeznaczone. Popołudniu zbierał się szwadron w dziedzińcu koszar, ustawiał w czworobok, delikwenci przychodzili pod strażą i opieką profosa, przynosząc z sobą ławki. Wymiar kary był różny. Jedni skazani za mniejsze przestępstwa na 10 do 15 różg, drudzy od 25—50, bardzo rzadko wyżej, gdyż

wtedy wymiar kary ponad 50 różg zależał już od sądu wojennego. Występowali wtedy podoficerowie, zwykle kaprale, ustawiając się po obu stronach delikwenta leżącego na ławce i po dokładnem zbadaniu, czy winowajca nie podłożył czego między ubranie a ciało, czekali z prętem w ręku na sygnał. W zwyczaju też było, że skazany wysyłał dwóch swoich kolegów do asystującego oficera dyżurnego z prośbą o ułaskawienie. Było to najczęściej prostą formalnością, po której profos głośno liczył, raz, dwa, trzy... w odstępach, na które to liczenie padały razy. Była to kara niezmiernie bolesna, widziałem bowiem ludzi mdlejących już po dziesiątem uderzeniu. Po wymiarze kary każdy wstawał kolejno i szedł do oficera wymawiając następującą formułkę: Dziękuję pokornie za słusznie wymierzoną karę. Następnie zaś szedł najczęściej do szpitala. Kara nie była uważana za hańbiącą, a w tym składzie najróżnorodniejszych elementów była konieczną do utrzymania karności.

W kilka dni po przyjeździe otrzymaliśmy rozkaz wymarszu. Wszystkie moje pakunki zostawiłem w Vera-Cruz zatrzymując przy sobie tylko worek płócienny zawierający trzy koszule, kilka par skarpetek, tuzin chustek do nosa etc., słowem tylko to, co było najpotrzebniejsze. Owinąwszy ten worek płaszczem, przyczepiłem go na plecach. Prócz tego dzwigałem ciężki pałasz, pistolet i ładownicę z 16 nabojami. Tak obciążony wsiadłem do wagonu, wiozącego nas do Soledad, jedną stację za Vera-Cruz, jedynej ówczesnej kolei całego państwa. Cały nasz pułk nie wyjechał



naraz. Pierwszy szwadron, do którego należał Łempicki, pozostał, mając nas później dogonić w Puebli. Dojechawszy do Soledad stanęliśmy obozem i zaraz pierwszego dnia zostałem na pierwszą straż odkomenderowany. Żołnierzy naszych już w Vera-Cruz straszono, że będziemy podczas naszego marszu zaraz napadnięci, więc też ich wyobraźnia była mocno podrażniona. Ku wieczorowi przy rozstawianiu czat, zaledwie byłem niejakiego Dembickiego na straży postawił, dawszy mu objaśnienia, jak się ma zachowywać, aż tu naraz słyszę strzał. Zbieram więc moich ludzi i lecę dowiadywać się, co się stało. Dembicki odpowiada mi, że strzelił do jeźdźca, który w ciemnościach na niego nacierał, nie dając odpowiedzi na jego wezwanie. Zaczęliśmy robić poszukiwania za tym kawalerzystą i znaleźliśmy go nareszcie w postaci zabitej krowy. Co jednak było dziwnem, że ten strzał nie wzruszył obozu pogrążonego w głębokim śnie. Na drugi dzień przy apelu, czyli przy wywoływaniu imiennem, służący hr. Guelderna i drugi szeregowiec czwartego szwadronu zabrawszy konie swoich panów uciekli. Podczas naszego marszu do Puebli mieliśmy kilku dezertarów, między nimi wspomnianego Dembickiego, który w Orizabie zbiegł. Musiał być z dobrej rodziny, gdyż później nadszedł dla niego list od rodziców z 40 dukatami. Przepadł bez wieści.

Droga z Soledad do Passo del Machio była dla mnie bardzo ciężką. Miałem na plecach mój worek i choć przyzwyczajony do chodu, gorąco bardzo mi dokuczało. Widząc moje wyczerpanie kazał kapitan

naładować mój worek na swojego muła, niosącego bagaże, a w Cordowie porucznik Brinckmann kupił konia i pozwolił mi na przemian co pół drogi na nim jechać. Byłem za to niezmiernie wdzięczny. Już niegnębiony niewygodami marszu, mogłem swobodnie przypatrywać się okolicy. I było na co patrzeć. Szczególnie droga z Soledad do Cordowy była długim pasmem teatralnych dekoracyj. Śliczne, piętrzące się pagórki zarośnięte wszędzie lasem, ale takim, jakiego nigdy moje oczy nie widziały, z wspaniałymi i różnobarwnymi kitami i kwiatami, liśćmi kilkumetrowymi, wszystko to przerośnięte tak gęstymi lianami, że z drogi zdawałoby się ani kroku w bok postąpić nie można. Wśród tych lasów mnóstwo różnego rodzaju hałaśliwego ptactwa w płomiennych barwach, to znowu latające precudne muchy lśniące, to ptaszki colibry jak szerszenie duże migają się w promieniach słonecznych jak taśmy drogich kamieni. Odwrotna strona, nieład i niechlujstwo. Tu leży zdechły muł, szarpany przez zgraję psów, odpędzanych przez zuchwałych zoopilotów. Ten obrzydliwy ptak wielkości indyka, czarnej barwy z łysym łbem, żywi się tylko ściervem i jemu w całym państwie jest powierzona czystość dróg i ulic. To też ptaki te szanowane przez wszystkich, tak są zuchwałe, że trzeba często, idąc chodnikiem, odtrącać je, aby samemu przejść, przerywając ich wstrętne trawienie. Czują ściervo na niezwykle odległości i zlatują zaraz z najdalszych okolic do przygotowanej uczty. Za wojskiem ciągną zawsze spodziewając się żeru.

Droga z Orizaby do Puebli jest całkiem inną. Opuszczając Orizabę ma się przed sobą wyniosłe góry zamykające cały horyzont, nad którymi góruje wulkan Orizaba 18 tysięcy stóp wysoki. Zaraz za miastem zaczyna się droga wężem prowadzona do szczytu tych gór, do których dochodząc roztacza się sławne płaskowzgórze Anahuac, przestrzeni trzystu kilometrów kwadratowych. Na tej płaszczyźnie zbudowano większą część miast wraz z stolicą. Nic smutniejszego wyobrazić sobie nie można, jak tę piaszczystą płaszczyznę, porośniętą gdzieniegdzie potwornymi kaktusami najdziwaczniejszych kształtów, olbrzymiami agawami i nędznie przy brzegach dróg rosnącymi drzewami pieprzowemi. Słuszne przysłowie odsyłające natrętnych gdzie pieprz rośnie.

Domy z powodu częstego trzęsienia ziemi są tam po większej części budowane z drzewa, zamiast sufitów są krokwie w zręb związane, wskutek tego gnieździ się w tych zrębach mnóstwo różnego gatunku robactwa, między którym są tarantule i skorpiony, stonogi olbrzymie i niezliczone inne, których w swych kryjówkach doścignąć niemożna.

Bardzo dolegliwe są raptowne zmiany ciepła w dokuczliwe zimno, połączone z obfitą rosą zastępującą tu deszcz, którego znowu ośm miesięcy tu brak. Nocując na dworze kładliśmy się spać przy względnem ciepłe, już o drugiej w nocy spać nie mogłem, będąc przemarznętym do tego stopnia, że dygotałem jak w febrze, a jednak było 12 stopni ciepła. Ledwie zaś słońce się pokazało i ruszaliśmy w drogę, gęsty pot

zlewał nasze czoła. Sądzę, że ten piękny kraj, ten raj, jak go niektórzy nazywają, może być takim dla tych, którzy z wszelkimi wygodami po nim podróżują, lecz dla mnie wydawał się wówczas piekłem i prosiłem tylko Boga, aby tam długo nie pozostać. Na drugim popasie po Orizabie w Canada przyjechał porucznik d'Equivilley z transportem koni dla oficerów. Była to dla mnie wielka ulga, gdyż już cały marsz a nie tylko połowę odbywałem na koniu porucznika Brinckmanna. Cała zresztą droga do samej Puebli nie przedstawiała nic ciekawego. W Palmar była restauracja utrzymywana przez Francuza, w której się uraczyłem, gdyż od samej Vera-Cruz jadałem strawę żołnierską, nieświetną jak można sobie wyobrazić. Ponieważ garnizon Puebli był złożony z samych Francuzów, wyjechał na przeciw nas generał francuski głównie dowodzący, przed którym defilowaliśmy. Gawiedź uliczna gapiała się, gdyśmy maszerowali przez całe miasto do przeznaczonej nam kwatery, starej rudery na pół zburzonej przez dopiero co przebyte oblężenie. Nie było ani drzwi, ani okien, nawet słomy na kamiennych płytach, słowem zaraz na wstępie wszelkie marzenia o polepszeniu bytu ginęły wobec brutalnej rzeczywistości.

Nazajutrz po niewyspanej nocy wyszedłem na miasto. Puebla jest to duże i ładne miasto, mniej więcej 70 tysięcy mieszkańców. Nie wiem dla czego nazwana, de los Angelos, co znaczy anielska, czy z powodu pięknego położenia, czy z powodu łagodnego charakteru mieszkańców? Nie wiem, lecz mocno po-

wątpiewam co do tej ostatniej wersji i przypuszczam prędeż, że to miano pozostało jej jeszcze z czasów zdobycia Meksyku przez Corteza. Większa część domów bogato ozdobionych, budowane są jedne z ciosu, drugie z cegły, te ostatnie lakierowane i często złoczone, dziwnie przedstawiają się oczom Europejczyka. Wszędzie za to w małej ilości pięt, widać obawę przed trzęsieniem ziemi, plagi nawiedzającej często ten nieszczęśliwy kraj.

W środku dużego i kamiennymi płytami wybrukowanego rynku wznosi się katedra, ciężka budowa ciosowa, w której dla trwałości poświęcono sztukę. Ta ostatnia jest jednak reprezentowaną pięknymi płaskorzeźbami nieznanymi artystów. Wnętrze kościołów niczem się od naszych nie różni. W kilka dni później zmieniono nasze kwatery i przeznaczono nam klasztor Św. Franciszka, dawniejszy szpital francuski i magazyny wojskowe. Budowa ogromna i okazała, o jakiej w onych czasach nie miało się pojęcia w Europie. Ponieważ był to pierwotnie klasztor żeński, więc budowa jego do tego celu zastosowana składała się z ogromnych korytarzy z celami po obu stronach. W tych celach mogło się ledwie pięciu do sześciu żołnierzy pomieścić. Żeby zaś dać wyobrażenie o ogromie budowy, dosyć powiedzieć, że mieścili się w niej wszyscy nasi oficerowie, każdy mający swój pokój, dalej oficerowie piechoty i artylerji, następnie cały nasz pułk ułanów, dwie kompanje piechoty i dwie baterje artylerji. Cały budynek mieścił w so-

bie siedm dziedzińców otoczonych arkadami. Te dziedzińce służyły nam później za ujeżdżalnie.

Dla mnie i mojego przyjaciela, młodego Anglika, Stuarta, równie jak ja kadeta, przeznaczono pokój, w którym, jak tylko nasze pakunki przyszły, postaraliśmy się jak najwygodniej urządzić. W tym celu wynajęliśmy sobie, za dwa piastry miesięcznie, stół, dwa krzesła i dwa fotele, co do łóżek, wydała się nam cena tak wygórowaną, że poprzestaliśmy na tych, które nam rząd dostarczał w postaci desek. Za to widok roztaczający się z naszych okien wynagradzał sownie małe i wielkie dolegliwości.

Klasztor zbudowany na wzgórzu górował nad miastem, które się roztaczało u jego stóp. Na tle zaś horyzontu dwa olbrzymie wulkany Popocatepetl i Iscachinuatl okryte wiecznymi śniegami. Rano przy wschodzie słońca kiedy promienie purpurowe zabarwiały na różowo płaszczyzny srebrzystego śniegu, widok był tak czarujący i poważny, że przenikał do głębi duszy i choć się codziennie powtarzał niemniejszy wzbudzał zachwyty.

W kilka dni po naszym przyjeździe, jeden szwadron dostał rozkaz odmaszerowania do Napalucan. Wspominam tu o tem tylko z powodu bardzo przykrego zajścia kończącego się tragicznie. Dotąd nie wspominałem, że pułk nasz składał się przeważnie z młodych Polaków internowanych po 1863 r. w różnych twierdzach austriackich, po ich przymusowem przekroczeniu granicy. Byli to wszystko powstańcy z roku 1863, którym rząd dozwolił zaciągnąć się do

oddziałów mających się udać do Meksyku. Otóż nieszczęśliwi ci młodzi ludzie nie mający pojęcia o rygorze wojskowym, nieznanym w powstaniu, znosili z trudem karność wojskową. W kilka dni po przyjeździe do Napalucan trzech młodych Polaków, z których dwóch z mojego szwadronu, niejaki Mączyński i Bogiński postanowili zbiec. Ukradłszy muły biednej babie, opuścili cichaczem wieś. Jak tylko odkryto ich ucieczkę wysłano w pogoń pluton Hr. Wolff-Metternicha, ten ich dogonił i wezwał do poddania się i powrotu do pułku. Nieszczęśliwi nietylko, że się nie poddali, ale stawili opór w czym tak dalece pogorszyli swą sprawę, że sąd wojenny skazał ich na śmierć przez rozstrzelanie. Nazajutrz wyrok wykonano, lecz z powodu braku dostatecznej ilości broni, były tylko cztery sztuce w szwadronie, musiano ich rozstrzelać kolejno. Dzielni byli chłopcy i szkoda, że tak marnie zginęli, bo umierając przepaszali towarzyszków i zwracali ich uwagę na hańbę niedotrzymania przy sięgi.

Wkrótce po naszym przybyciu została wyznaczona komisja do zakupu koni i tak się skrętnie uwinęła, że w kilku tygodniach pierwszy i drugi szwadron, do którego należałem, dostał konie. Wtedy dopiero zaczęła się prawdziwa praca. W chwilach jednak wolnych od służby miałem swój kącik, gdzie mogłem swobodnie odpoczywać, czytać, pisać i myślać lecieć do swoich.

Do tej chwili mieliśmy stosunkowo mało do roboty, ćwiczenia, ujeżdżalnia i wykłady regulaminu. Próż

tego wypadło nam dość często wyjeżdżać z asystą na egzekucje wykonywane na tubylcach przez Francuzów. Miejscem egzekucji był plac San-Joze, który z tego powodu nazywali Meksykanie rzeźnią francuską. Wyroki wykonywano dwa razy w tygodniu. Zwyczajnie rozstrzeliwano trzech albo więcej skazańców, raz nawet siedmiu. Straszną była szybkość postępowania. Skazańcy przyjeżdżali na wozach każdy z księdzem. Po odczytaniu w kilku wierszach wyroku i to po francusku, którego biedacy nawet nie rozumieli, kazano im klękać, zawiązywano oczy i w gnieniu oka padały strzały, na pięć kroków odległości. W tej chwili odzywały się trąbki i wojsko defilowało przed leżącymi trupami.

Godną podziwu jest odwaga i rezygnacja, z jaką umierali ludzie, których sumienie było po większej części obarczone najohydniejszymi zbrodniami. Przy wielkiej ilości wykonanych wyroków śmierci, przy których byłem obecny, raz tylko mi się zdarzyło widzieć jak skazańca musiano gwałtem wlec na miejsce stracenia. Sądząc wogóle całą tameczną ludność tak autochtonów jak mieszkańców i kreoli, to niepokoje stuletnie, od wyzwolenia się od rządów hiszpańskich, brak sensu moralnego, poczucia honoru, przedajność i deprawacja obyczajów, do tego stopnia obniżyły poczucie godności osobistej, że stworzyły z tej różnorodnej ludności, ludzi bez czci i wiary.

Z opowiadań, które mnie doszły, w znacznej części przyczynił się brak duchownych do deprawacji ogólnej. Przytoczę zdanie jednego Niemca, zamieszka-

łego od 30 lat w Puebli, który znając tamtejsze towarzystwo, tak mi je odmalował: Prawie niema rodziny, gdzieby nie istniały hańbiące stosunki i zamiast się nimi gorszyć i wstydzic, żyją dalej wspólnie w najlepszej komitywie.

Uwagę moją zwróciła i chciałem o niej już wcześniej wspomnieć, niezmierna troskliwość i staranie, którą mnie wszyscy moi rodacy otaczali. Do tego stopnia, że każdy chciał mi oddawać usługi wszelkiego rodzaju jak tylko widzieli, że mogłem ich potrzebować. Ta troskliwość niezmiernie mnie rozczulała, tem więcej, że niewiedziałem, jak się odwdzięczyć za doznaną opiekę. Czy odczuwali, że jestem słabszy i niewciążnięty do twardego życia? Nie wiem, niemniej jednak byłem im wdzięczny.

Wracając do sprawy codziennej pracy, to ta zaczynała być znacznie cięższą. I tak, już od 5 z rana trzeba było być na ujeżdżalni do 9, od 12—3 popołudniu pilnować czyszczenia i karmienia koni, robota równie ciężka, gdyż odpowiadało się przed oficerami za niedopilnowanie żołnierzy. Dopiero około 7 wieczorem byliśmy wolni i szliśmy do hotelu Universel, gdzie zwyczajnie nasi oficerowie jadałi. Tam mnie spotkała następująca przygoda, która się jednak bez przykrych następstw obeszła. Jadał też z nami w hotelu Universel major Bertrand, dowódca naszego pułku, którego wszyscy nasi oficerowie nie lubieli. Żeby z nim nie jadać zaczęli się powoli jeden po drugim wynosić do innego hotelu, tak, że pozostałem sam z majorem. Położenie było arcyniemiłe, gdyż

więcej mi zależało na życzliwości ogółu oficerów, jak jednego, nawet dowódcy pułku. To też i ja się wyniosłem i poszedłem jadać w hotelu des Diligences. Pewnego dnia spotykam na schodach majora idącego do hotelu, który mnie się pyta: Wo gehen Sie? Speisen, odpowiadam flegmatycznie. Warum speisen Sie nicht mehr im hotel Universel? Weil man besser speist hier. Na to major zły odpowiada mi: Hören Sie mahl, speisen Sie im Universel oder essen Sie Menage, sonst spere ich Sie ein. Odwrócił mi się tyłem i poszedł dalej. Niemiałem naturalnie nic spiesniejszego, jak opowiedzieć całą historję zebrany oficerom. Wszyscy byli oburzeni z podobnego postępowania i mój rotmistrz poradził mi, abym nadal z nim jadał, o co się major gniewać nie może.

Lecz na co nie pomógł gniew majora, dokonała bieda. Pieniądze, które z sobą przywiozłem, zaczęły się tak gwałtownie wyczerpywać, że w krótkim czasie ani Stuart, ani ja nie byliśmy w stanie stołować się w hotelu, doszło nawet do tego, że przez oszczędność jadaliśmy jedną potrawę we dwóch. Skończyło się zatem, jak sobie tego życzył major, że musieliśmy jadać menage, czyli strawę żołnierską. Chodziliśmy też ustawicznie po bankierach miejscowych, dopytując się, czy nam pieniędzy nie przysłano? Tymczasem fundusze malały z dnia na dzień, tak że nam nawet niewystarczało na jeden obiad dla dwóch, co nieprzeszkodziło, że jak tylko fundusze nadeszły, pomimo dobrze już przyswojonego zwyczaju, każdy zaraz cały obiad dla siebie spożywał.

Około 14 marca 1865 r. major Bertrand urządził wycieczkę na północ od Puebli, jak mówiono dla zakupna koni, ale w istocie, aby się dowiedzieć, co się dzieje z bandą rozbójniczą nazwaną Plateros, waleśającą się i rabującą w tych okolicach. Nazwa Plateros tej bandzie nadana pochodzi z wielkich i bogatych zdobyczy na okolicznych mieszkańcach. Po hiszpańsku Plateros znaczy, ludzie pieniędzy a właściwie ze srebra.

Ponieważ ta ekspedycja obiecywała wiele wrażeń, a ja właściwie po nie tu przyjechałem, więc usilnie prosiłem, aby mnie do niej pozwolono należeć, co też bez trudności otrzymałem. Rotmistrz hr. Kurzrock komenderował tą wyprawą, składającą się z majora Bertranda, porucznika Doleszala i podporuczników Brinckmanna i Suchodolskiego, kadetów d'Hoop, mnie i trzydziestu ułanów. Pewnego więc poranku ruszyliśmy w drogę, kierując się na północ ku Tlascali, zostawiając po prawej ręce górę Malunci. Malunci jest ogromną górą przedstawiającą aż do złudzenia kobietę leżącą okrytą fałdzistemi draperjami. Widok jest wspaniały i naturalnie postać kobieca dała powód do różnorodnych legend.

Według najdawniejszej, szukającej źródła w zdobyciu Meksyku przez Corteza, żona dowódcy tubylczego szczepu, niemogąc znieść niewoli i widząc kraj swój oddany na łup cudzoziemców, wyszła na tę górę i tam pozbawiła się życia. Kilkuwiekowy śnieg, pokrywając te piękne zwłoki niezmienił ich kształtów, tylko powiększając ich kontury, pomógł złudzeniu,

uderzającemu każdego, kto po raz pierwszy widzi tę górę.

Dowództwu naszemu chodziło o to, aby banda rozbójników nie była zawczasu zawiadomiona o naszej wyprawie, musieliśmy zatem trochę przyspieszyć nasz podjazd. Około południa dotarliśmy do Tlascali, w której bawiliśmy tylko do 3 popołudniu, żeby zaraz dalej maszerować do Atlanguatepec, gdzie nam wypadało nocować. Jest to wioszczyzna złożona z kilku nędznych chat, jeszcze gorszych, jak nasze najuboższe w zapadłych Karpatach, w których oprócz kukurudzy nic nabyć nie można było. Ostatecznie posiliwszy się kilku nędznymi tortiliami, rodzaju placka z mąki kukurudzianej i trochę chleba przywiezionego z Puebli, położyłem się obok konia, próbując spać. Wcześniej rano obudzony i zmarznięty ruszyłem dalej.

Muszę też wytłumaczyć to marznięcie w podzwrotnikowym kraju. Zmiana upalnego dnia na zimne noce, połączone z obfitą rosą, sprawia na organizmie już przyzwyczajonym do gorąca, równającego się upałowi w nasze najcieplejsze dni lipcowe, uczucie zmarznięcia bardzo dokuczliwe, które za pierwszym pojawieniem się wschodzącego słońca przechodzi odrazu w nieznośne gorąco. A tu przez osiem miesięcy w roku słońce nigdy nie zawodzi.

Około dziesiątej dotarliśmy do Tlasco, a po odpoczynku południowym ku wieczorowi dojechaliśmy na nocleg do Chihuahupan. Od Tlasco już kraj nie jest tak jednolitym. Nie widać wciąż tych ogromnych

plantacyj agawy, lub zarośli nieprzebytych różnorodnych kaktusów. Odtąd zaczynają się okolice góryste, zalesione jak u nas iglicowym drzewostanem. W drodze zaskoczyła nas burza, ale burza podzwrotnikowa, o której nikt pojęcia mieć nie może, kto jej nie przeżył. Równie była gwałtowna, jak krótko trwała. W jednym oka mgnieniu z horyzontu jaśniejącego jak najczystszym lazurem, wyśliznęły się czarne chmury i pokryły całe niebo. Grad grubości orzeszków zaczął padać i w kilku minutach pokrył ziemię białym całunem. Konie smagane jakby uderzeniami prętów stawały dęba lub ponośli. Huk piorunów odbijających się od okolicznych skał był tak przeraźliwy, że ziemia cała drżała pod nogami. Jak szybko przyszła burza, tak i szybko odeszła, pozostawiając nas w osłupieniu i przemoczonych do nitki. Żeby nie ślady złamanych drzew i grubej warstwy lodu, można by było myśleć, widząc znów to lazururowe niebo i świecące słońce, że to był tylko przykry sen.

Nazajutrz, pozostawiając nasze tobołki w bezpiecznym schronisku, wybraliśmy się zbrojnym podjazdem do Zacatlan, celu naszej podróży. Niestety, zapóźno! Zastaliśmy miasto opuszczone i zrabowane. Platerosy po rabunku, ostrzeżeni prawdopodobnie o naszym przybyciu, wynieśli się w góry. Wróciliśmy więc wieczorem do Chihuahupán, gdzie spędziliśmy dzień następny. Tu po raz pierwszy skosztowałem wódkę krajową, pędzoną z ananasów, nazwaną pina, bardzo dobrą, tylko zbyt słodką. Po dniu wypoczynku ruszyliśmy wczesnym rano następnego dnia, mając długi

etap przed sobą, bo blisko 50 kil., do Tulancingo, znaczniejszego miasteczka, obsadzonego garnizonem francuskim. Marsz, chociaż długi, był jednak nadwyraz piękny. Jechaliśmy wciąż między wysokimi zalesionymi górami, które nas chroniły od żaru słonecznego. Gdyśmy wieczorem dojechali do Tulancingo, oficerowie francuscy z niezmierną gościnnością podejmowali naszych oficerów. Podoficerowie zaś nieznając różnicy stopnia kadeta, nieistniejącego u nich, od zwykłych podoficerów, usilnie nas prosili do siebie. Chociaż to nam było nie na rękę, bo stopień kultury, i obyczajowy był całkiem inny, niechcąc jednak gburowatością odpłacać się za ich dobre chęci, przyjęliśmy zaproszenie i wieczór jako tako przepędziliśmy w ich towarzystwie. Byliśmy jednak bardzo radzi, kiedy nazajutrz ruszyliśmy w dalszą drogę ku małej wiosce Apan.

Tu odmiana zupełna okolicy. Jak okiem sięgnie płaszczyna okryta zieloną trawą. To też droga dobra i w krótkim czasie dotarliśmy do Apan. Nędzna wioska z złym noclegiem w dodatku bez wody, chociaż koło samego Apanu leży ogromne jezioro, niestety słone.

Tego dnia miałem właśnie służbę dyżurną, więc cały porządek dzienny odemnie zależał. Wziąwszy kilku ludzi poszedłem na wywiad o wodę. Pomimo długiego szukania i dopytywania się u niechętnych mieszkańców, wody nie znalazłem. Trzeba było złożyć o tem raport dowódcy oddziału hr. Kurzrockowi. Naturalnie byłem jak najgorzej przyjęty. Rotmistrz

nawymyślał mi, dodając między innymi: Mógł pan być dowcipniejszy i wstępując do pierwszego lepszego mieszkańca, na przykład proboszcza, zabrać mu zapas wody. Odpowiedziałem krótko, że nieczując się upoważnionym do gwałcenia mieszkań spokojnych obywateli, nie uczyniłem tego, lecz obecnie na jego rozkaz zaraz to uczynię.

Udałem się też wprost do proboszcza, który na grzeczną moją prośbę udzielenia nam trochę wody odpowiedział, że wszystkie cysterny wyschnięte. Niezadowolony się odmową przeprowadziłem rewizję i znalazłem dostateczną ilość wody, aby ludzi i konie napoić.

W tej okolicy z powodu częstej posuchy i braku wody, mieszkańcy budują głębokie zbiorniki zasilane deszczową wodą. Oczywiście takie cysterny są niezmiernie strzeżone, gdyż służą rok cały i są bardzo niechętnie udzielane.

Z Apan do następnej stacji etapowej wypadało nam jechać koło haciendy San-Nicolas, mając zamiar chwilkę tam spocząć. Jednakże gościnność hacien-dera, a właściwie mówiąc, jego zastępcy majordoma, gościnność prawdziwie hiszpańska, żadną miarą na taki krótki pobyt zezwolić nie chciała, i oświadczył nam, że nie puści nas, jeżeli nie chcąc go śmiertelnie obrazić, nie przepędzimy u niego przynajmniej jednej nocy. Trudno było opierać się pokusie zaznajomienia się z życiem prawdziwego haciendera, to też pozostaliśmy.

Hacienda w właściwym tego słowa znaczeniu

jest folwarkiem połączonym z dworem, lecz folwarkiem takiej przestrzeni, o której my nie mamy najmniejszego pojęcia. Jest też rodzajem małej forteczki broniącej się od częstych napadów, tak bandzbrojnych włóczęgów, jak równie niebezpiecznych jenerałów, niezgadających się z prawnymi stosunkami krajowemi, czyli należących do prononciamentów. Wskutek tego hacienda taka, posiadająca kilka kroć tysięcy morgów ziemi, niezbyt ściśle jednak odgraniczonych, zawiera w swych murach kilkutysięczną ludność rządzoną patryjarchalnie przez haciendera lub w jego nieobecności przez jego zastępcę, majordoma. W takiej też haciendzie znajdziesz wszystko, co do prostego życia tej ludności potrzebne. Co do rolnictwa jest taka hacienda zredukowana do minimum potrzeb miejscowych. Przeważnie do produkcji kukurudzy i jęczmienia, służącego tu na obrok dla koni, pozatem cały obrót gospodarski zasadza się na produkcji trunku narodowego, nazwanym pulke, trzciny cukrowej i tabunowego chowu koni i bydła. Gospodarz wie tylko z rejestrów znaczonego bydła, jaką ilość posiada.

Pulke, jest to trunek używany przez całą ludność płaskowzgórza Anahuac, gdyż agawa, z której ten trunek produkują, rośnie tylko na tych wyżej położonych przestrzeniach. Agawa, mylnie często u nas nazywana kaktusem, spotyka się u nas po ogrodach w kształcie podobnym do karczocha z ogromnemi, tłustemi liśćmi, zakończonemi ostrym kolcem. W Meksyku plantacje agaw obejmują przestrzenie

tysięcy hektarów. Gdy roślina dojrzeje, przystępują do zbioru w bardzo oryginalny sposób. Indianin uzbrojony w machete, czyli rodzaj małego tasaka i bardzo pierwotnego instrumentu do wyssania soku, przystępuje do zbioru. Wycina najspierwóđ cały środek agawy i odkrywa w ten sposób zagłębienie pojemności kilku litrów soku teŹe rośliny, który za pomocą ssawki przeprowadza do gotowych zszytych kozich skór, skąd następnie zlewa się ten płyn do wielkich wiader odkrytych. Sok w wiadrach tych fermentuje z taką siłą, że niema butelki, któraby ciśnienie wytrzymała, dlatego teŹ używa się tak do zbioru jak i do transportu tego napoju kozich skór. Napój sam białości mleka musuje jak szampan i gdyby nie wstrętny zapach kozi, byłby wcale przyjemnym i szczególnie orzeźwiającym napojem. Wszędzie spotyka się, tak w miastach, jak i po drogach szynki z napisem: Pulkerja. Mówią, że napicie się kieliszka wódki po pulke upija do szaleństwa.

Hacienda San-Nicolas posiadała 2—3 tysięcy mieszkańców i mniej więcej 200 tysięcy sztuk bydła i koni pasących się wolno na niezmiernych płaszczynach. Wkoło murów ochronnych, zamykanych na noc, są przylepione chatki indjan, nazywanych peones, czyli to samo, co nasi wieśniacy. Między chatkami są sklepiki dostarczające towarów zastosowanych do miejscowych potrzeb. W środku stoją dwory z oficynami, fabryki cukru, gorzelnie i wielkie spichlerze.

W San-Nicolas dwór był ogromny i byliśmy

w nim znakomicie ugoszczeni. Nazajutrz chciał się właściciel pochwalić swojemi końmi, więc już od rana wysłano mnóstwo jeźdźców, których zadaniem było spędzić pewną ilość koni i bydła, aby nam dać przedstawienie, w jaki sposób ci ludzie dają sobie radę z temi dzikimi tabunami. Do tego celu przeznaczone są obszerne dziedzińce, nazwane corale, rozległości kilku morgów, opasane wysokimi murami. Dla wygody, a zarazem bezpieczeństwa usadowiliśmy się na wierzchołkach murów, i ledwieśmy się ulokowali, już z daleka słychać było tentent dzikiego tabunu pędzonego w obłoku kurzu przez kilkunastu jeźdźców. Wszystko wpadło jak huragan między mury obszernego coralu. Wrota zasunięto i po chwili cały tabun stanął jak osłupiały, oglądając się na wszystkie strony. Lecz ta względna cisza niedługo trwała i zaczęły się produkcje zręcznych gauczów, lub tak zwanych cowbojów. Mając przy siodle przyczepiony koniec długiego sznura, robionego z niezmiernie mocnej tkaniny aloesu, nazwanego laso, wyjeżdża gauczo i pędzi przed sobą konie wywijając nad głową lasem, które tworzy w powietrzu dużą pętlę. W chwili stosownej mając na oku upatrzoną zdobycz, zarzuca owe laso czy to na głowę czy pod nogi konia, którego chce schwytać i sam staje jak wryty. Koń schwytny czując tylko uderzenie sznura pędzi dalej z podwojoną szybkością, która raptem wstrzymana powoduje jego upadek. Zręczność tych ludzi jest wprost bajeczną. Łapali to za szyję, to za nogi przednie, albo tyłnie, bez najmniejszego zatrzymania

w pełnym galopie. Ten sam sposób łapania zastosowuje się też do bydła, tylko z bykami trzeba się ostrożniej obchodzić. Jeden jeździec łapie byka za rogi, drugi za tylne nogi i tak ubezwładnionego prowadzą jak najbezpieczniej do miejsca przeznaczenia. Opowiadają, że koń raz schwytyany na laso już tego nigdy niezapomni. Przewrzenie wywołane nagłym upadkiem pozostaje na całe życie. Dlatego u konia każdego Meksykańczyka wisi na szyi sznurek, za dotknięciem którego przypomina się koniowi jego pierwsze ubezwładnienie, a jest to do tego stopnia wystarczające, że w ten sposób zatrzyma się konia w największym pędzie. Następne harce przedstawiały nam ulubiony sport Meksykańczyków, wymagający niezwyklej siły i zręczności. Do coralu puszczone byka, za którym gnało na cudnych koniach czterech jeźdźców. W dzikim galopie każdy jeździec stara się schwytać byka za ogon. Jeżdżąc po lewej stronie byka, wypuszczają strzemię podkładając nogę prawą pod ogon i popędziwszy lewą ostrogą konia, tak silnie szarpną naprzód, że się bydle przez łeb przewala. Zaledwie wstał, już go drugi trzyma i wywraca i tak idzie bez przerwy póki zwierzę zmęczone już z ziemi wstać nie może. Jest to zabawa dzika, niemniej jednak wymagająca siły, zręczności i doskonałej jazdy. Hacienda zwiedzona przez nas, należała do hiszpańskiego generała Prima, który sam nigdy tu niebył, otrzymawszy ją w posagu za żoną Meksykanką.

Po bardzo serdecznem pożegnaniu, opuściliśmy San-Nicolas, udając się do San-Martin z zamiarem

przepędzenia tam nocy. Otrzymaliśmy jednak tak alarmujące wiadomości, że kontynuowaliśmy marsz aż do Puebli, gdzie stanęliśmy jeszcze tego samego dnia o szóstej wieczorem. Dystans przebyty w tym dniu wyniósł 78 kilometrów, które upamiętniły mi się dokuczliwym obtarciem od siodła.

W Puebli dowiedzieliśmy się o agitacji wszczętej między ludnością i skierowanej przeciwko nam, nazwanym los austriacos. Napadano na naszych żołnierzy obrzucając ich kamieniami, nawet do nich strzelano. Te rozruchy i nieprzyjazne usposobienie ludności nieprzeszkadzały nam jednak wychodzić jak zwykle na obiad do hotelu. Pewnego dnia, gdy powracaliśmy do koszar z porucznikiem Doleszałem, padł strzał na rogu ulicy a kula przeszła między nami i ugrzęzła w przeciwległym murze, nie robiąc nikomu żadnej szkody. W tej właśnie chwili zjawił się patrol, który na nasze wezwanie przeszukał dom i mieszkańców zabrał do więzienia.

Zdarzały się też komiczne epizody: raz ku wieczorowi, generał Thun w otoczeniu majorów Pollaka i Bertranda podążył ku koszarom Conception, właśnie wtedy, kiedy koszary były napadnięte, skutkiem czego dostał się generał wraz z świtą między dwa ognie, gdyż nasi odstrzeliwując się, nie wiedzieli o jego obecności. Szczęście, że uszedł cało. Te niepokoje jednak ustały, kiedy dla przykładu byliśmy zmuszeni rozstrzelać kilku rozbójników.

Telegrafu nie było, a konieczność wymagała wysłania do Meksyku kurjera do cesarza z opisem wszystkich

tych wydarzeń. Wybór padł na mnie i dostałem rozkaz stawienia się do głównej kancelarji, gdzie mi wręczono pakiet z depeszami i kazano wyjechać o 3 zrana.

Podróż sama przez się nie przedstawiała nic nadzwyczajnego, zmieniałem ośm razy konie nim dojechałem wieczorem do Meksyku. Droga z Puebli wznosi się powoli i dobiega miejsca nazwanego Rio-Frio, najwyższego przesmyku tych gór, dzielącego Pueble od Meksyku. Z tego punktu widok na dolinę, w której leży stolica jest wprost czarujący. Jak wiadomo, Meksyk jest otoczony jeziorami, które z wszystkich stron miasto otaczają. Największe nazwane Texcoco, drugie San-Cristobal. Z daleka wydaje się jakby miasto całe leżało na wyspie, horyzont zaś stanowią góry odbijające się na tle nieba ciemnymi błękitnymi farbami. Sam wjazd do miasta jest oryginalny, bo na 40-metrowej szerokiej grobli. Ta grobla jest otoczona rodzajem lagun, na których miliony ptactwa wodnego, od kaczek, pelikanów począwszy, do najdrobniejszych bekasów i kuligów różnorodnego gatunku, pływa, nurkuje i drze się przeraźliwie, wzlatając olbrzymimi bandami ku niebiosom. Co za czarujący widok dla myśliwego! Żeby nie obowiązek, jak chętnie chwyciłbym za strzelbę i próbował szczęścia.

Miasto samo jest piękne, ale nie przedmieścia zamieszkałe przez tubylców. Jest dużo okazałych budowli i śródmieście ma zupełnie wygląd europejski.

Katedra jest wspaniała i posiada, jak mówią bajeczne skarby w srebrze, złocie i drogich kamieniach. Najciekawszą jednak jej ozdobą są dwa kalendarze

astronomiczne wyryte na płytach kamiennych wmurowanych w ściany katedry a pochodzące z czasów Montezumy.

Pałac cesarski na tym samym placu co i katedra niczem się nie odznacza. Wygląd ma dużego jednopiętrowego budynku, przypomina więcej koszary jak pałac. Kazałem się zawieźć do hotelu Iturbide, dawnego pałacu cesarza tego imienia, leżącego w śródmieściu i po przebraniu zacząłem dowiadywać się o majora Hotze, do którego miałem depesze. Przekonawszy się, że major Hotze jest w hotelu na obiedzie, razem z sztabem jeneralnym francuskim, kazałem się zameldować. Major mnie natychmiast przyjął i przedstawił towarzystwu, które mnie namawiało do pozostania z nimi. Ponieważ jednak depesze były pilne, wytłumaczyłem się, że wrócę, jak tylko je oddam, jedną cesarzowi, drugą marszałkowi Bazaine. Depeszę do cesarza obowiązał się major Hotze sam oddać. Ja zaś wziąłem fjakra i pojechałem do marszałka Bazaine, gdzie oddawszy depeszę powróciłem do hotelu. Zastawszy jeszcze całe towarzystwo przy stole, zjadłem z nimi obiad, po którym udaliśmy się do kawiarni. Niedługo tam jednak bawiłem, zmęczony powróciłem do domu, aby wreszcie odpocząć po podróży.

Major Hotze był dla mnie nadzwyczaj uprzejmy, prosił mnie na obiad codziennie o tyle, o ile by mi to dogadzało, wreszcie oddał na moje usługi swojego służącego i swój powóz. Nazajutrz po długim wyspaniu się, udałem się około 10 zrana do majora Kodolicza, jeszcze chorego z rany otrzymanej w potyczce pod Te-

otitlan. Mieszkał w pałacu cesarskim w apartamentach hr. de Bombelles, wielkiego ochmistrza dworu. Zastałem go leżącego na kanapie, ale w bardzo dobrym humorze. Po chwili wszedł hr. de Bombelles, któremu mnie przedstawił i ku wielkiemu mojemu zadowoleniu cała konwersacja toczyła się dalej po francusku, gdyż po niemiecku byłbym jej z trudem podolał. Zauważyłem, że hr. de Bombelles pomimo, że był Niemcem tak gładko władał językiem francuskim, że można było go wziąć za rodowitego Francuza. Po chwili rozmowy zaprosił mnie Kodolicz na obiad a hr. de Bombelles oświadczył mi, że zastrzega sobie tę samą przyjemność.

Meksyk różni się znacznie od innych miast tego kraju, które po większej części zachowały wygląd miast hiszpańskich osiemnastego stulecia. Tymczasem Meksyk ma charakter miasta nowożytnego, jednym słowem stolicy państwa cywilizowanego. Gdy w innych miastach, prócz walki byków trudno znaleźć inne rozrywki. Jest w Meksyku opera włoska, teatr francuski, drugi Iturbide i jeszcze cztery małe teatrzyki. Prócz tego piękny cyrk Chiarini, w którym przepędziłem wieczór i który mógłby się równać z cyrkiem Renza europejskiej sławy.

Bawiłem wszystkiego pięć dni w Meksyku. Poznałem też niezmiernie ważną osobistość kryjącą się pod skromną postacią sekretarza prywatnego cesarza, ale mająca faktycznie największe wpływy na dworze. Był nim Pan Eloin, do którego miałem list polecający od księżnej de Ligne z domu Lubomirskiej. Bardzo był dla mnie łaskaw i obiecał popierać mnie przy awansie.

w Wilję mojego odjazdu hr. de Bombelles z Kodoliczem wydali dla mnie obiad pożegnalny w restauracji francuskiej u Cineta. Jako czwarty był proszony major Bolesławski, adjutant cesarski. Towarzystwo jednak jego było mniej zabawne, gdyż trudno było się z nim porozumieć z powodu jego głuchoty. Obiad wypadł mile i wesoło, a przy rozejściu się, ściskając mnie za rękę rzekł gospodarz: kochany hrabio proszę nie zapomnieć, że zostawia pan tu prawdziwych przyjaciół i gdybyś miał tu powracać, proszę się wprost do mnie udawać.

W Meksyku przed odjazdem udałem się do rozmaitych bankierów dowiadując się, czy niema dla mnie wysłanych pieniędzy z domu. U jednego z nich, bankiera Dawidsona, dowiedziałem się, że leży list kredytowy dla młodego polaka z Krakowa od tamtejszego bankiera Wolffa, prawdopodobnie dla mnie i rzeczywiście.

Opuściłem Meksyk tak jak do niego przyjechałem i bez zatrzymania się powróciłem do Puebli. Tu zdziwienie było ogólne, że powracam bez rangi oficerskiej i wtedy dopiero dowiedziałem się, że napewno liczone na moje mianowanie jeszcze w samym Meksyku i że głównie dlatego zostałem tam wysłany, aby się u wyższych władz przedstawić.

W jakimś czasie po moim powrocie, sztab główny z powodu braku kawalerji niemogąc jej użytkować równocześnie w wielkich masach, w wojnie podjazdowej, zdecydował się rozrzucić szwadronami nasz pułk po całym kraju. I tak, odkomenderowano 5 szwadron do Perote, 3 poszedł do Tulancingo, 1 do San-Juan de

los Lianos. Z powodu braku monety papierowej trzeba było wysyłać do oddzielnych garnizonów żołąd w gotówce, to jest w srebrze albo w złocie. Przedstawiało to zawsze wielkie trudności, bo nie było sposobu za każdorazową wysyłką kilku tysięcy pesos poruszyć cały szwadron, aby eskortował przewóz, do przeznaczonej miejscowości. Ciężki ten, jak również niebezpieczny obowiązek przypadał oficerom, których ledwie kilka godzin przed odjazdem zawiadamiano. Podróż odbywała się dylizansem. Dylizanse te na tych pierwotnych drogach były równie pierwotne. Wyglądały i były istotnie prędzej narzędziem tortur jak środkiem komunikacyjnym.

Puebla była połączoną, mniej więcej regularnie dylizansami z głównymi miastami kraju, lecz z powodu częstych napadów i obrabowywania podróżnych, trzeba było ukrywać dzień wyjazdu, aby nie być napadniętym. Dylizanse tutejsze to ogromne karety na 6 miejsc, zaprzężone 16 mułami. Stangret powożący ten dziwaczny zaprzęg z wysokiego kozła miał obok siebie pomocnika, który po drodze zeskakując z kozła zbierał kamienie i trafnie rzucając nimi w odporne muły popędzał w ten sposób zaprzęg, ciągle pędzący galopem. Pewnego dnia zawezwano mnie do sztabu głównego, gdzie się dowiedziałem, że mam nazajutrz rano w towarzystwie porucznika Brinckmanna zawieść do Perote 50 tysięcy franków w złocie. Oprócz przykrości zamknięcia w pudle bez możliwości obrony w razie napadu, dokuczala nam jeszcze kurzawa, o której nie można mieć najmniejszego pojęcia nie doświadczwszy jej sa-

memu. Ponieważ o naprawie lub o budowie dróg nikt nigdy nawet nie pomyślał, więc drogi są takie, jakie istniały prawdopodobnie za czasów Corteza, a jeszcze przez czas i używanie trochę więcej popsute. Następnie gdy się pomyśli, że muły w jednym galopie przepędzają całą przestrzeń między pocztowymi stacjami, przez góry, doły i dziury, dyliżanse zaś zbudowane są w Ameryce z twardego drzewa bez resorów, można sobie wyobrazić rozkosze podobnej jazdy przy temperaturze 30° R. w cieniu. O krajobrazie już nie wspominam, bo nawróciwszy koło Malunci, już opisanej góry jedzie się ku północy znaną wyżyną nazwaną płaskowzgórziem Anahuac. Na tej wyżynie oprócz najróżnorodniejszych gatunków aloesów i agaw rośnie tylko pieprz. Dosyć, że na wpół uduszeni i potłuczeni dojechaliśmy do Perote około szóstej wieczorem.

Miasto leży u stóp góry, nazwanej le coffre de Perote, z powodu jej kształtów przedstawiających olbrzymi kufer. Jest to licha miścina, jak zresztą wszystkie drugorzędne meksykańskie, biedna a nadewszystko brudna, w której życie całe koncentruje się w głównym rynku, zawsze ozdobionym jedną albo kilkoma fontanami czystej wody. Zabytek cywilizacyjny z czasów hiszpańskich. Zaraz po przyjeździe oddawszy pieniądze do należytych rąk, przywitaliśmy się z kolegami i bez zwłoki mocno zdrożeni poszliśmy wypocząć. Dopiero drugiego dnia zwiedzaliśmy co było ciekawego, mianowicie fort, jeden jedyny zdaje mi się w całym Meksyku zasługujący na to miano, bo rzeczywiście zbudowany podług ostatnich wymagań sztuki wojennej.

Trzeba jednak dodać, że obecnie wyglądał już bardzo opuszczony. W nim mieszczą się więzienia i nasze kompanje dyscyplinarne. Pożegnawszy się z kolegami opuściliśmy ich zaraz na drugi dzień wracając do Puebla tą samą drogą, którąśmy przyjechali.

ROZDZIAŁ IV.

Marsz do południowego Meksyku. Nominacja na oficera. Pobyt w Oajace. Niefortunny epizod majora Kleina.

W Puebli pozostawały już tylko dwa szwadrony naszego pułku, czwarty i mój drugi. Jeden z nich miał być przeznaczony do Oajaci. Cuda opowiadano o tem mieście leżącym na południu Meksyku już w cieplej strefie. Szczęście nam sprzyjało, gdyż nasz szwadron został tam przeznaczony i przyszedł rozkaz wymarszu naszego na dzień 9 maja 1865 r. Oajaca jest oddaloną od Puebli o 108 leguas czyli 432 kilometry. Mieliśmy więc w perspektywie 17 do 18 dni marszu. Ponieważ wtedy żadna droga kołowa nie dochodziła do Oajaci, tylko wąskie ścieżki dostępne wyłącznie dla mułów — prowadziły przez góry Andy, oświadczone nam, że żadnych bagaży niewolno brać z sobą. Jedyńie oficerowie mieli prawo do jednego muła pod rzeczy. Wskutek tego Stuart i ja zapakowaliśmy wszystkie nasze graty w jeden wielki kufer, który pozostawiliśmy w Puebli. Nasze zaś niezbędne manatki wpakowaliśmy do małych waliz,

licząc, że jakoś potrafimy je przeprowadzić. O siódmej więc zrana 9 maja ruszyliśmy w drogę w towarzystwie dwóch kompanij piechoty i jednej baterji artylerji górskiej, pod komendą majora Kleina. Pierwszy nasz etap był nam już znany i zresztą bardzo krótki. Przy pierwszym pięcio-minutowym odpoczynku widzę ze zdziwieniem, że choć wszyscy zsiadliśmy z koni nasz doktor pozostał w siodle, lecz zamiast stać jak drugie, koń jego kręci się bezustanku. Pomyślałem sobie, że doktor prawdopodobnie nigdy na koniu nie siedział i będziemy mieli przedstawienie. Niedługo czekaliśmy na nie, koń z stępa wpadł w kłus, potem w galop i doktor leżał jak długi na ziemi, szczęście, że się nie potłukł.

Wojskowa strona marszu nie przedstawiała tu szczególnego interesu niebędę jej też opisywał. W Tecomachalco już upał był znacznie większy i było czuć, że zdążamy ku południowi. Wegetacja była bogatszą i choć jeszcze aloesy i kaktusy widziano, jednak ich formy były wspanialsze. Agaw wcale już nie było. W budynku dla nas przeznaczonym w dziedzińcu nazwanym patio, jak zresztą prawie w każdym domu, znajduje się basen pełen czystej wody. Wieczorem też użyliśmy tego basenu do orzeźwiającej kąpieli, o tyle przyjemniejszej, że woda źródłana wydała się nam lodowatą.

W drodze spotkaliśmy oddział francuski wracający z Oajaci, który nam o tej miejscowości cuda opowiadał. Spiesznie nam też było dostać się do tego raj. Tymczasem zęby mnie bardzo rozbolewały, a nasz doktor nie miał potrzebnych instrumentów do rwania, więc za-

czepiłem przy spotkaniu kolumny francuskiej jednego podoficera pytając: Avez-vous un major dans votre colonne? Na potakującą odpowiedź podjechałem do doktora zapytując, czy może mi ząb wyrwać? Chętnie się na to zgodził, więc zsiadłszy z koni, siadłem na przydrożnym kamieniu i po chwili uwolnił mnie doktor od bólu i zęba. Uścisnęliśmy sobie nawzajem ręce i tyle go w życiu widziałem.

Ledwie dotarliśmy do Tepango stacji przed Tehuacan, kiedy nas tam spiesznie powołano na odsiecz, twierdząc, że nieprzyjaciel w sile tysiąca ludzi zagraża miastu. To też bez odpoczynku kazano nam konie siodłać i dalej już w przyspieszonym tempie ruszać ku Tehuacan. Tam przenocowaliśmy tylko i zostawiając nasze bagaże ruszyliśmy dalej na zwiady. Dojechaliśmy około czwartej popołudniu do Teotitlan i dowiedzieliśmy się tam dopiero, że alarm był fałszywy, bo w całej okolicy nie było śladu nieprzyjaciela. Po tak forsownych marszach dano nam dwa dni odpoczynku, aby piechota miała czas nadciągnąć.

Droga z Puebli do Tehuacan jest względnie dobra i gdzie niegdzie nawet dyliżanse kursują. Natomiast już od Tehuacan do Teotitlan i dalej, zaczynają się góry i cały ruch odbywa się albo konno albo mułami. W Teotitlan zastaliśmy Wiedeńczyka trzymającego fonde, tak zwaną restaurację, u niego też stołowaliśmy się.

Niemając nic do roboty poszliśmy porucznik Brinckmann, Stuart i ja na polowanie na ogromne jaszczurki nazwane tu leguan. Niedługo zobaczyliśmy jedną na drzewie, która jednak przewidując nasze złe za-

miary schowała się do dziupli. Stuart wylaźł na drzewo i mimo wysiłków i kija nie mógł jej z dziury wypłoszyć. Niemając innego sposobu postanowiliśmy ją wykurzyć. Zebrawszy więc suche trawy i gałęzie podpaliśmy dziuplę. Środek okazał się doskonały, gdyż po chwili ciężko wyskoczyła na ziemię olbrzymia jaszczurka, którą dobiliśmy kijami. Jaszczurka ta miała trzy stopy długości, była koloru brudno-zielonego. Od samego łba do końca ogona, wzdłuż grzbietu ciągnął się grzebień ostrych kolców. Pod szerokim pyskiem wisiał ogromny gardziel, a łapy były zaopatrzone w ostre pazury, które jej służą do wspinania się po drzewach. Słowem obrzydliwy zwierz. Indianie utrzymują, że jest jadowitą, co jednak nie przeszkadza im z wielkim smakiem zjadać jej mięso, jak tylko uda im się ją upolować. W San-Dominguillo porucznik Brinckmann zabił jaszczurkę jeszcze większą, bo mierzyła cztery stopy długości i wyglądała jak młody aligator.

Od San-Dominguillo droga, pogorszyła się jeszcze więcej. Do samego Huitzo, etap przed Oajacą, nic nadzwyczajnego się nam nie przydarzyło, tylko między Tecumabają i Cio-tepec przyszło nam przeprowić się przez rzekę. Z powodu jednak nagłego przyływu wody musieliśmy naszą piechotę konno przeprowadzić. W tym celu pół szwadronu zsiadło z koni, a druga połowa kilkakrotnie tam i z powrotem przeprowadzając konie przez rzekę naszych piechurów przeprowiła. Jeden tylko piechur zleciał z konia i karabin zgubił. Lecz miesiąc później oddział piechoty dążący za nami znalazł ten karabin i nam go zwrócił.

W San-Dominguillo aż do Salome droga a właściwie ścieżka wije się stromo pod górę, droga niezmiernie męcząca i mieliśmy nadzieję, że w nocy odpoczniemy, zapomnieliśmy jednak, że przeprawialiśmy się przez Andy i właśnie w Salome był ich najwyższy punkt. To też noc całą przepędziliśmy bezsennie grzejąc się przy ogniach, gdyż zimno i obfita rosa strasznie nam dokuczały. Z Salome do Huitzo droga wciąż schodzi ku obszernej dolinie Oajaci. W Huitzo przeznaczono nam duży folwark na kwaterę, w którym w porównaniu z zeszlą nocą było nam bardzo wygodnie. Powołany do majora Kleina dostałem rozkaz wyruszenia następnego dnia z 6 ułanami naprzód do Oajaci, aby tam przygotować kwatery dla oddziału.

Więc 20 maja 1865 roku o piątej zrana wyruszyłem i już o dwunastej wjechałem do Oajaci. Byłem pierwszy z ochotników austriackich, który tu wstępował. Mając z sobą trębacza kazałem mu zaraz na wstępie zatrąbić general-marsza i wszystko co żyło w Oajace wyległo na nasze spotkanie. Wszystkie okna i balkony, nielicząc gawiedzi ulicznej, były gęsto obsadzone przez gapiących się na cudzoziemców w nieznanach mundurach. Kazałem sobie wskazać drogę do komenderującego miastem pułkownika Carteret, u którego zameldowałem przybycie naszego oddziału, prosząc dla niego o kwatery. Pułkownik przyjął mnie nadzwyczaj uprzejmie, kazał mnie wszędzie zaprowadzić przez swego adjutanta i ostatecznie zaprosił na obiad, przypuszczam, że uważał mnie za oficera i pomimo wymawiania się musiałem przyjąć zaproszenie.

Wieczorem, podług zwyczaju muzyka francuska grywała na Almeidzie, gdzie miałem sposobność oglądać osławione piękności miejscowe. Przyznam się, że nie byłem olśniony, ale może w tem wina mojego złego smaku.

Nazajutrz przybyły nasze wojska, a tego samego dnia francuskie opuściły miasto. Rozkwaterowaliśmy się w następujący sposób: kawalerję ulokowano w dawnym klasztorze San-Domingo, piechotę w klasztorze Conception. Stuartowi i mnie dostała się jako kwartera dziura bez okien, gdzie nas formalnie mrówki zjadały, a na dobytek z pułapu padały skorpiony grubości palca. Nasz poczciwy kapitan widząc przykrości naszego pomieszczenia zaproponował nam odstąpienie jednego z swoich pokoi, co przyjęliśmy wdzięcznością i zaraz przenieśliśmy się do niego.

Przy tej sposobności muszę wspomnieć, że skorpiony i różne inne owady są tam pospolite. Wskutek częstych trzęsień ziemi nigdzie niema sufitów tylko powały, tam gnieźdzą się i chowają w szczelinach belek przeróżne gatunki robactwa. Właśnie w mieszkaniu ofiarowanym nam przez mojego kapitana zdarzył mi się wypadek, że, gdy myłem się rano, ukłuł mnie skorpion schowany w gąbce, którego zimna woda stamtąd wypędziła. Na szczęście żadnych przykrych następstw nie było, gdyż w tej chwili po ukłuciu użyłem amoniaku, który zawsze miałem w pogotowiu. Żeby się zaś przekonać o prawdzie legendy o samobójstwie skorpiona, przebijającego się własnym żądłem w razie schwytania i niemożliwości ratunku, zaniósłem go do kuchni, tam

ułożywszy w kółko żarzące węgle postawiłem go w samym środku. Jak tylko uczuł się wolnym, popędził szybko przed siebie i zrażony żarem węgli natychmiast się cofnął próbując na wszystkie strony wydobyć się z iskrzącego koła. Widząc niemożliwość wydostania się skoczył prosto na węgle, gdzie marnie zgiął. Zdaje mi się, że legenda stąd pochodzi, że przy szybkim biegu skorpion podnosi ogon i kładzie go na grzbiecie. Jak wiadomo hak opatrzony jadem znajduje się na końcu tego ogona, stąd też przypuszczenie, że rzucając się śmiało w ogień sam siebie pierwszej zabija. Oajaca, prowincja tej samej nazwy, jest jedną z największych w kraju i prawdopodobnie najbogatszą. Jednak brak absolutny wszelkich dróg przeszkadza rozwojowi przemysłu górniczego jak i uprawie rolnej.

Miasto samo leży w środku trzech rozległych dolin, otoczonych wysokimi górami, z których szczyt jednej wznoszącej się stromo nad miastem jest obwarowany silnym fortem. Doliny te rozciągające się w trzy strony są niezmiernie żyzne. Były za czasów Conquistadorów dane Cortezowi za zasługi, stąd też pochodzi, że spadkobiercy Corteza nazywali się hrabiowie trzech dolin: Conte del Valle.

Co do fauny, niema tu żadnej dla myśliwego przystępnej zwierzyny. Ani kuropatw, ani zajęcy. Co do grubego zwierzka znajdują się w górach jelenie i tak zwany lew amerykański, puma, dalej tapir i leopard, lecz polowanie na tego rodzaju zwierzka wymagałoby opuszczenia miasta na kilka tygodni. Zresztą obecny stan kraju nie pozwala cudzoziemcom oddalać się nawet na kilka

kilometrów od głównych miast bez eskorty. Pozostały zatem tylko rozrywki miasta, między którymi był też teatr. Nic niebyło pociesniejszego jak koniec aktu, gdyż w chwili spuszczenia kurtyny słyszano w całym teatrze trzask zapalanych zapalek. Zwyczaj palenia papierosów jest tak rozpowszechniony, że niema możliwości go nawet w teatrze zakazać, kobiety równie jak mężczyźni podlegają temu nałogowi. Jest to tak głęboko zakorzeniony zwyczaj, że podczas wizyty, pierwszym obowiązkiem gospodarza jest podać papierosa i to bezwzględnie każdemu.

Życie więc nasze było jednostajne i gdyby nie różnica klimatu, obyczajów i języka, można było myśleć, że znajdujemy się w małej mieścinie austriackiej. Nieobchodziło się też bez różnych przykrości służbowych. Miałem wtedy dość ciężką służbę, bo nasz wachmistrz zachorował i ja pełniłem jego obowiązki.

Jak wiadomo cały szwadron zostaje pod odpowiedzialnością wachmistrza i co tylko się złego stanie, z jego czy nie z jego winy, zawsze za to odpowiada. Otóż pewnego dnia, było to 26 czerwca, koń mój zaplątał się w nocy w uździenicę i skaleczył się w pięcę. Oczywiście była to wina żołnierza, który w nocy miał obowiązek pilnować koni, pełniąc tak zwaną straż stajenną. Zirytowany tem niedbalstwem zburczałem żołnierza, a mając jechać na ujeżdżalnię, wziąłem pierwszego lepszego konia i pojechałem. Na nieszczęście właśnie tego dnia kapitan nadjechał także i pierwsze jego zapytanie przy moim meldowaniu było, dlaczego na swoim koniu nie jeżdżę? Wyłomaczyłem mu co zaszło i po-

mimo, że wogóle był bardzo wyrozumiałym, a nadto wiedział doskonale, że w koszarach nie mieszkam, bo sam mi pokój ofiarował, widocznie w bardzo złym humorze, wpadł na mnie, że wszystko źle i niedbale idzie, bo ja nic nie pilnuję i dodał, że jeżeli podobne wypadki się powtórzą, każe mnie zamknąć.

Okrutnie mnie brała chętka zapytać, czemu się mnie czepia, wiedząc doskonale, że to nie moja wina, lecz rozważa zahamowała gorący temperament i nakazała trzymać język za zębami. Wściekły jednak, wracam w najgorszym humorze do koszar i na zapytanie podoficera co się stało, opowiadam mu całą przygodę, dodając, że gdybym tylko był mianowany oficerem, co niedługo nastąpić powinno, to bym sobie kpił z złych humorów kapitana. W tej chwili spotykam Stuarta i jemu jeszcze opowiadam zajście, niemogąc się uspokoić, klnąc wszystkich komendantów szwadronów. Wtem zbliża się do mnie ordynans majora Kleina i zwracając się do mnie, powiada: „Proszę pana porucznika“, przerywam mu — nie widzisz ośle z kim rozmawiasz, nie jestem jeszcze porucznikiem, idź do diabła. Ten stoi dalej i powiada, ja się wcale nie myślę i przynoszę panom — mnie i Stuartowi — nominację na poruczników. Można sobie wyobrazić moją radość. Właśnie ta nominacja przypadła w tak przykrych chwili! Humor zaraz się też poprawił i pobiegłem do kapitana, żeby mu zameldować moją nominację. Pocziwy rotmistrz, który zawsze był dla mnie bardzo względny i łaskawy, tak serdecznie się ucieszył i winał awansu, że darowałem mu ten jego chwilowy zły humor. Następnie

pożyczając na prawo i na lewo różne potrzebne ubrania i przedmioty do umundurowania, już wieczorem spacerowaliśmy z Stuartem po ulicach w mundurach oficerskich. Oczywiście, że z awansem odmienił się zupełnie tryb naszego życia. Nająłem sobie mieszkanie i kazałem go sobie umeblować na koszt miasta. Następnie przyjąłem służącego i ordynansa do koni. Miałem już jednego konia i dokupiłem teraz drugiego. Porządek dnia urządziłem sobie w następujący sposób. Około szóstej zrana wstawałem, przyprowadzali mi konia i jechałem na ujeżdżalnię. Tam musztrowałem pierwszy pluton, którym komenderowałem. O ósmej wracałem i po przebraniu połączonym z kąpielą jadaliśmy razem z kapitanem śniadanie mięsne z nadzwyczajną herbatą, którąśmy wprost z Chin otrzymywali przez Tehuantepec. Zwykle takie śniadanie się dość długo przeciągało, po którym zwyczajem krajowym, po załatwieniu korespondencji kładliśmy się spać podczas największych upałów do 3 popołudniu. O trzeciej szedłem do koszar, gdzie się żołnierzom wykladało regulamin wojskowy, potem jechałem z drugim oficerem na długi spacer konny trwający do 7 wieczór. Szliśmy potem wszyscy na obiad do restauracji francuskiej, lecz ponieważ z czasem się popsuła bardzo, przyjęliśmy kucharza i jadaliśmy w trójkę w domu. Dopiero wieczorem szło się na spacer na Almeidę, gdzie grała muzyka wojskowa. Czasami do teatru, a ostatecznie do kawiarni. Tam się czytało gazety i grało w karty. Gra była zwyczajnie bardzo wysoką. Brali w niej udział, oprócz naszych oficerów przeważnie dostawcy francuscy, któ-

rych olbrzymie zyski na dostawach zachęcały do rozrzutności.

Co się zaś tyczy towarzystwa, szczególnie kobiecego, nie mieliśmy żadnego, gdyż wszystkie domy prywatne były przed nami szczelnie zamknięte. Jeżeli kiedy proszono nas na bale, to było więcej z obawy przed rządem, jak z przychylności dla nas. Takie były uczucia całej ludności. Co zaś do arystokracji, to ta nie istnieje, bo tak nazwana, składa się przeważnie z bogatych kupców. Brak towarzystwa kobiecego miał wpływ deprymujący na nasze stosunki towarzyskie, gdyż żadnymi względami niehamowane uczucia i wyrażenia doprowadzały do gburowatości, wskutek której i nasze stosunki osobiste się zaostrzały.

Nie można twierdzić, aby klimat Oajaci był zdrowym, być może skutkiem braku dobrej wody. Mniej więcej wszyscy zapadali na różne choroby, niekiedy dość ciężkie między nimi major Klein na krwawą dysenterję. Ja, który wody nie pijam, uczułem się kilkakrotnie niezdrów lecz tylko przejściowo. Co do naszych żołnierzy znaczna liczba z nich zachorowała i duży procent zmarł.

Wskutek antypatji egzystującej między naszymi dwoma rotmistrzami, stworzyły się dwa obozy. W jednym był rotmistrz Bythel, Stuart i ja, w drugim rotmistrz Lange, Brinckmann i doktor. Chociaż ten rozdział na dwa obozy nie doprowadzał do konfliktów, jednak zgody nie było i wskutek tego też zapanowały przykre stosunki służbowe. Ja tylko i Stuart żyliśmy zawsze z wszystkimi w dobrych stosunkach. Pewnego

dnia rotmistrz Lange w restauracji zaproponował pewnemu porucznikowi od piechoty wspólną wycieczkę do sławnego olbrzymiego drzewa w Tule w celu fotografowania się pod niem. Drzewo to opisane przez Humbolda jest unikatem swojego rodzaju, gdyż dwudziestu jeźdźców wygodnie spocząć może w cieniu jego rozłożystych gałęzi. Stuart, któremu ta wycieczka bardzo się podobała, namawiał mnie, abym w niej brał udział, ja się sprzeciwiałem dowodząc, że ponieważ nas nie proszono, widocznie nie życzą sobie naszego towarzystwa. Lecz wszystkie moje rozumowania poszły na marne wobec uporu Stuarta, któremu finalnie, żeby go się pozbyć, obiecałem, że pojadę, zaznaczając, że czynię to tylko dla niego. Nazajutrz wybraliśmy się rzeczywiście w kilkunastu oficerów z eskortą 20 ułanów do Tule, miejscowości odległej o jakie 19 kilometrów na południe od Oajaci. Owe sławne drzewo, z rodzaju cedrów, rośnie na cmentarzu kościoła i ma wnuków i prawnuków w swoim otoczeniu, ale nie sięgających rozmiarów dziadka. Nie robi jednak to drzewo tak nadzwyczajnego wrażenia z powodu wysokości nieodpowiadającej olbrzymim rozmiarom pnia. Fotografja jednak na tle tego pnia i pod cieniem jego rozłożystych gałęzi obejmowała nas wszystkich konno, czyli mniej więcej 35 ludzi i mnóstwo Indjan, przybyłych z okolicy, aby się nam przypatrzeć.

W kilka dni później przy sposobności wielkiej zabawy, połączonej ze strzelaniem do tarczy, Stuart podchocony, nie miał nic lepszego, jak opowiedzieć rotmistrzowi Langiemu, że ja tylko dla niego brałem

udział w wycieczce do Tule. Oczywiście, że rotmistrz obrażony, cierpko się do mnie odezwał, że mogłem w domu pozostać, jeżeli mi towarzystwo jego nie przypadło do smaku. Wytłómaczyłem się rotmistrzowi, jak mogłem, ale za to byłem wściekły na Stuarta i nieomieszkalem mu moje zdanie o jego paplaninie bardzo dobitnie wyrazić. On pod wrażeniem nadzwyczajnych libacyj odpowiedział mi po grubjańsku, co widząc, oddaliłem się, aby uniknąć dalszej kłótni i poprosiłem dwóch oficerów, by go natychmiast wyzwali. Szczęściem, że nasi oficerowie, znając naszą przyjaźń, zmusili go nazajutrz, aby mnie przeprosił i znów zapanowała dawna zgoda. W tym czasie różne wieści zaczęły krążyć pomiędzy mieszkańcami Oajaci. Liberali mieli już zająć Tehuacan i w najkrótszym czasie tu przybyć i nas wypędzić. Nas to mało obchodziło i nie dawaliśmy wiary tym pogłoskom. Jednak kiedy pewnego dnia nasz kurjer nie przybył, zaczęliśmy się dopytywać na serjo i badać okolice. Nareszcie przybył kurjer z Teotitlan z wiadomością, że rzeczywiście Tehuacan wzięty przez liberałów. Na tę wiadomość nasz pocziwy major Klein przeraził się, bo jak był obliczył, żona jego przyjechawszy z Europy do Vera-Cruz, miała właśnie o tej porze znajdować się w Tehuacan. To też 15 sierpnia zdecydował się major Klein wyruszyć na czele oddziału, złożonego z 30 strzelców pod dowództwem porucznika Gonczy i 20 ułanów z naszego szwadronu pod porucznikiem Brinckmannem.

O tej samej porze, kiedy nasz major maszerował na pomoc żonie, kolumna francuska, znajdująca się

w marszu ku Orizabie, dowiedziawszy się o tem, co zaszło, zboczyła z drogi i pomaszerowała na Tehuacan, skąd wyrzuciła jenerała liberałów Figuroa razem z jego bandą. Nasz major po przejściu niebezpiecznego wąwozu, ruszył naprzód z ułanami, żeby prędzej dotrzeć do Tehuacan. Tymczasem spotkał się z całą bandą wypartych przez Francuzów liberałów, liczącą 1.200 ludzi. Rozpaczy tylko należy przypisać, że zamiast się cofnąć czempredzej ku swojej piechocie, pozostałej w tyle, ruszył naprzód i wytrzymał trzechkrotny atak liberałów. Gdy padła mu jednak połowa ułanów, musiał się cofnąć, nie mogąc już teraz ratować swej piechoty, która cała dostała się do niewoli. Między nimi znajdował się były oficer austriacki, Polak, nazwiskiem Kaczkowski, krewny powieściopisarza. Tego Figuroa kazał rozstrzelać, niewiadomo z jakich powodów. Żonę zaś naszego majora, z powodu której cała katastrofalna wyprawa miała miejsce, wziął Figuroa do niewoli i wkrótce odesłał do Oajaci, bardzo grzecznie się z nią obchodząc. Major zaś ze swoimi 10 ułanami wrócił jak niepyszny do Oajaci.

Wtedy dopiero zaczęto się mieć na baczności. Przeniesiono dwie kompanje piechoty do koszar w Carmen i w San-Domingo, dawnych klasztorów położonych na granicy miasta, równocześnie wydano rozkaz do oficerów, żądający, aby o ile możności zamieszkiwali w okolicach koszar i nie oddalali się od miasta. Na szczęście wszelkie ostrożności okazały się zbyteczne, bo spokój niczem nie został zakłócony, dzięki temu, że z waleśającej się ludności mnóstwo aresztowaliśmy

w mieście, ku wielkiemu zadowoleniu spokojnych mieszkańców i kupców, którym wichrzyciele przeszkadzali w zarobku.

W kilka dni później, to jest 15, 16 i 17 września, zaczęły się uroczystości oswobodzenia Meksyku z pod zwierzchnictwa hiszpańskiego. Uroczystości te pamiątkowe obchodzone są corocznie z wielkim zapamiętaniem w całym kraju. Przedstawiały mało zainteresowania jako przeważnie ludowe, w których myśmy też żadnego udziału nie brali. Zwyczajnie muzyka, budy jarmacznego, tombole, przedstawienia ludowe i t. p.

Ośmnastego września 1865 r. wieczorem przybyła kolumna majora Bertranda, składająca się z dwóch szwadronów ułanów, dwóch kompanij piechoty i pół baterji artylerji.

Zaczynała się wtedy pora deszczowa i było rozsądniej przeczekać ten czas w Oajace. Nie było to jednak zdanie majora, który się uparł i nie bacząc na prawdopodobne kłopoty deszczowej pory pod zwrotnikiem, kazał być gotowym do wymarszu. Opuściliśmy 24 września 1865 r. Oajacę po cztero-miesięcznym pobycie.

ROZDZIAŁ V.

Wśród pory deszczowej z powrotem w okolice Puebli. Utarczka pod Tehuacan. Śmierć porucznika Kaweckiego. Nowy Rok 1866. Trzęsienie ziemi. Awans.

Zaraz na początku różne mnie spotkały przykrości, jako przedsmak tego niefortunnego marszu. Będąc na czele przedniej straży, moi ułani ruszyli z kopyta, zgubili się i dopiero po długim szukaniu potrafiłem ich dognać. Przyjechawszy nareszcie do obozu, pokazało się, że mój służący pozostawił moją walizkę w Oajace, tak że oprócz bielizny, którą miałem na ciele, pozostały mi tylko trzy koszule w torbach. Następnie zapewniono nas, że za opłatą dzienną jednego piastra, czyli 5 franków, pewien dostawca podjąłby się dostarczać nam obiady i śniadania. Stosując się do tego i nie chcąc i tak bardzo trudnego marszu zbyt ciężko obciążać, pozostawiliśmy nasze naczynia kuchenne w Oajace. Zaraz na pierwszym postoju przekonaliśmy się, że nas oszukano, bo żadnego dostawcy nie było i z największym trudem ledwie zdołaliśmy wynaleźć kawałek liczego chleba, okraszonego itką słoniną.

Następnego dnia ruszyliśmy dalej ku wiosce Salome, którą zastaliśmy doszczętnie spaloną przez liberałów, wskutek czego nie było mowy o obozowaniu w miejscowości, która nam nie mogła niczego dostarczyć. Całe nasze pożywienie tego dnia składało się z mięsa mulego, suszonego na słońcu. Na dobitkę przewidziany deszcz zaczął padać i towarzyszył nam do San-Dominguillo, do któregośmy dopiero nazajutrz dotarli. Staraliśmy się schronić od tego ulewnego deszczu pod drzewami, lecz daremnie, i tak spędziliśmy noc całą, leżąc w błocie, w przerywanym śnie i marzeniu równie przykrem, jak rzeczywistość.

W San-Dominguillo udało się nam ująć jednego zbójca, należącego do bandy Figuaroa. Podług prawa, jeniec ujęty z bronią w ręku, powinien być od razu rozstrzelany, lecz major Bertrand, mając nadzieję wydobycia z niego różnych wiadomości, kazał go skuć i prowadzić za nami.

Drugiego dnia deszcz się jeszcze wzmógł, tak że nie mogliśmy opuścić San-Dominguillo. Wskutek wzebrania rzek już nie było mowy obierać drogę na Cuicatlan, tylko trzeba było zboczyć w góry na Quendolein. Tam dopiero dostawszy się, mogliśmy spocząć po tak wprawdzie krótkiej, ale dolegliwej drodze. Żeby tylko wspomnieć, co się z ludźmi i końmi działo, przytoczę, że w naszym szwadronie było z górą 40 koni odparzonych, których jeźdźcy musieli w ciężkich butach iść w błocie obok koni, żeby ich dalej nie odparzać. Siodła, koce, płaszcze, wszystko było przesiąknięte wilgocią i potrzebowałyby kilku dni i schronienia, aby

móc wyschnąć. Quendolein jest jedną z tych ogromnych haciend, czyli folwarków, rozrzuconych po tym kraju i posiada dużą fabrykę cukru.

Pomimo zmęczenia, po jednym dniu odpoczynku zaraz ruszyliśmy dalej, obierając drogę na Tecumbaje. W ten sposób mieliśmy tylko jedną rzekę do przejścia, mianowicie Rio-Salado.

Pierwsza część naszego marszu przeszła spokojnie. Wprawdzie bardzo uciążliwą drogą, jeżeli tak nazwać można wijące się ścieżki po stromych górach, szczególnie ciężkie w tej porze deszczowej. Opuszczając Quendolein po przebytych już kilku kilometrach, zdawało mi się, że słyszę strzał na froncie naszej kolumny. Nie zwróciłem na razie na to uwagi, bo odgłos takich pojedynczych strzałów często się powtarzał podczas marszów, lecz po chwili ilość strzałów się zwiększyła i wkrótce zamieniła się w dobry, gęsty karabinowy ogień. Jak zwykle w takich okolicznościach wszystko się przyczynia do zwiększenia zamieszania, tak i tu muł niosący kasę pułkową upadł, co cały ruch kolumny wstrzymało, gdyż na tych ścieżkach wśród gęstego zwrotnikowego zarośla omijanie było niemożliwe, Z wszystkich stron zaczęły gęsto padać kule, co jeszcze utrudniało zadanie pomagającym mulicy do dźwignięcia się. Nareszcie udało nam się ruszyć z miejsca i połączyć się z wyprzedzającą nas kolumną. Już było rozporządzenie dane naszym strzelcom rozwinąć się na prawym naszym boku, by dać należyłą odprawę dokucającym nam liberałom. Wkrótce też po kilku celnych strzałach nastąpiła cisza. Nie mogliśmy jednak nieprzy-

jaciela ścigać, gdyż był na drugim brzegu właśnie co wezbranej rzeki i stamtąd nam urągał. Trzeba było jednak ukarać to zuchwalstwo. Poza rzeką znajdowała się mała wioseczka Cio-tepec, na jej rynku zobaczyliśmy mnóstwo ludzi wyzywających nas obelżywymi słowami, pewni, że im na tę odległość nic nie grozi. Po namyśle szukając dogodnego miejsca, dominującego nad wioską, zaciągnęliśmy na nie z niemałym trudem nasze armatki. Były to jeszcze w Meksyku nieznanne dalekonośne, ciągnięte haubice z pękającymi pociskami, zwanymi: spitzhohlgessoss. Zaraz pierwszy nasz pocisk trafił w sam środek rynku, wyrządzając wielkie spustoszenie. Wszystko, co żyło, zaczęło uciekać, z czego większa część schroniła się w kościele. Drugi pocisk uderzył w bok kościoła i pękł nieco dalej, lecz trzeci wleciał przez okno i głośny huk wraz z tłumem uciekających z kościoła, oznajmił nam, że odnieśliśmy pożą-dany skutek. Dalszą ucieczkę liberałów przyspieszyliśmy posyłając im na drogę i do widzenia kilka pocisków. Ta lekcja o tyle skutkowała, że im odjęła ochotę przeszkadzania nam w dalszym pochodzie. Wskutek tej małej utarczki straciliśmy dużo czasu tak, że dopiero około 8 wieczór przybyliśmy nad brzegi rzeki Rio-Salado i tu postanowiliśmy nocować, odkładając przeprawę przez rzekę na drugi dzień. Deszcz, który chwilowo ustał, zaczął znowu lać na dobre. Naza-jutrz przekonaliśmy się, że rzeka przez noc wezbrała i że mowy nie było ją przebyć w takim stanie. Pozostaliśmy więc na miejscu dzień cały, noc i dzień następny, przy nieustającym deszczu brodząc po kolana

w błocie i nie mając żadnego pożywienia dla nas i naszych biednych koni.

Trudno wyobrazić sobie, jakie wrażenie ubezwładnienia wywołuje taki ulewny deszcz na ludziach, gnębionych prócz tego głodem i brakiem snu. W tych okolicach przyzwyczajeni do wielkiego ciepła, teraz przesiąknięci literalnie do kości wilgocią, zdawało się nam, że marzniemy pomimo 15 stopni ciepła. Nareszcie 1 października przestał deszcz padać, rzeka jednak była tak wezbrana, że zamiast maszerować przez Tecumabaje, wybraliśmy drogę poboczną na Ixcatlan. Zapewniali nas tubylcy, że do tej miejscowości jest zaledwie 20 kilometrów, tymczasem musiało być dużo więcej, gdyż pomimo wczesnego wymarszu o 5 zrana, dotarliśmy dopiero na miejsce o 8 wieczorem. Ludzie byli kompletnie wyczerpani, jeden nawet zastrzelił się z rozpacz, nie mogąc dalej podążyć za swoimi. Major Bertrand był w ciężkim zmartwieniu, lecz nie było na to rady.

Ixcatlan posiada tylko jeden taki dom, w którym rozgościliśmy się. Co do mnie, byłem tak znużony, że obwinąłem się w burkę, położyłem się na ławce i zaraz twardo zasnąłem. W nocy hałas na dziedzińcu wyrwał nas z głębokiego snu. Major Bertrand poprosił mnie, abym się przekonał o powodzie tego hałasu. Wyleciałem na zwiady. Otóż rozbójnik, któregośmy schwytali w San-Dominguillo uciekł. Ta ucieczka jest jedną z najciekawszych i najodważniejszych, o jakich kiedykolwiek słyszałem i nigdy nie można było dojść w jaki sposób została wykonaną. Po naszym przybyciu do

Ixcatlan, został piechocie przeznaczony na kwaterę stary kościół. Za romaniką, w środku chóru była postawiona kasa pułkowa, na niej siedział zbrodniarz skuty z rękami w tył związanymi, a przed nim stał szyldwach. Było niezmiernie ciemno, więc jest do przypuszczenia, że więzień zdołał się prześlizgnąć między śpiącymi żołnierzami i wyjść z kościoła niespostrzeżony. Raz na dworze będąc, a znając okolicę, już łatwo mu było umknąć. Szyldwach, jak tylko się spostrzegł, że więźnia niema, wszczął alarm i zbudził wszystkich ludzi, którzy zaczęli szukać zbiega, lecz daremnie. Zraportowałem całą historję majorowi Bertrandowi, który wpadł w pasję i chciał natychmiast kazać rozstrzelać szyldwacha, ledwie zdołaliśmy go uspokoić tłomacząc zmęczenie biednego człowieka.

Dzień cały przepędziliśmy w Ixcatlan. Ludzie zmęczeni i głodnieli potrzebowali odpoczynku. Nazajutrz dotarliśmy do Coixtlahuaca, małej mięsciny, gdzie w podprefekturze znaleźliśmy przynajmniej najniezbędniejsze przedmioty do zaspokojenia naszych niewygórowanych wymagań. Następnego dnia kawalerja dostała rozkaz wyruszenia naprzód do Tehuacan i dotarcia tam w trzech dniach, zamiast sześciu. Ruszyliśmy i zaraz pierwszego dnia dotarliśmy późnym wieczorem do Naranjos, nad brzegami Rio-Salado, przy blasku księżyca, odbijającego się cudnie w falach szerokiej rzeki. Nasz pośpiech był tak wielki, że zaraz na drugi dzień pomimo kilku ochwaconych koni, dobiłszy do Sopotitlan, a w dzień następny stanęliśmy w Tehuacan, licząc na kilkudniowy odpoczynek.

Mieliśmy nadzieję, że nas przeniosą do Puebli. Tymczasem przyszły inne rozkazy, przeznaczające 3 szwadron do Puebli, a my z piątym szwadronem huzarów mieliśmy w Tehuacan pozostać. Życie w tej dziurze było nader monotonne. Ani książek, ani gazet nie można było dostać, ażeby więc mieć jaką taką rozrywkę, bawiliśmy się jak dzieci. Kupowaliśmy tak zwane tu, cuetes, rodzaj rakiety, wyrządzające więcej hałasu niż szkody i dzieliwszy się na dwa obozy, gnaliśmy się zapamiętale, płosząc się wzajemnie strzałami rakiet.

Rano 17 października przyszedł telegram dowódcy fortu w Teotitlan, że jest obleżony przez Figuarę i prosi o pomoc. W tej chwili rotmistrz Bythel kazał siodłać i o 11 wyruszyliśmy, nocując w San-Sebastian. Drugiego dnia już o 9 z rana byliśmy w Teotitlan, z okolic którego powstańcy na wieść naszego przybycia uciekli.

Mieliśmy na drugi dzień wracać do Tehuacan, kiedy kurjer przywiózł nam rozkaz od generała Thuna, aby fort zburzyć i garnizon z sobą do Tehuacan odprowadzić. Zburzenie fortu odbyło się 20 i zaraz wymaszerowaliśmy z powrotem. Po naszym powrocie dni następne były o tyle mniej monotonne, że byliśmy ciągle alarmowani, wprawdzie nieskutecznie. Nareszcie w nocy z 24 na 25 donieśli szpiedzy kapitanowi, że Figuaroa znajduje się osobiście w sile 900 ludzi o kilka kilometrów od miasta. O szóstej z rana zerwaliśmy się przy odgłosie trąbek, wzywających na alarm. Ledwie się ubrał, dostałem rozkaz pozostania z moim pluto-

nem w mieście, aby w razie odwrotu móc świeżemi siłami obronić powracających. Ten rozkaz był mi nader przykry, gdyż odejmował mi sposobność pohulać trochę na karkach tej zgraji. Lecz przeciw rozkazowi nawet szemrać nie wolno i z ciężkiem sercem i zazdrością spoglądałem na odjeżdżających kolegów.

Nasza kawalerja dognała nieprzyjaciela o cztery kilometry od miasta i rozpędziła go na wszystkie strony. Zabiła na miejscu 100 ludzi, których pochowano na pobojowisku, raniąc z górą dwieście, którzy puciekali lizać się ze swych ran po wsiach okolicznych.

Na nieszczęście nawet przy zwycięstwie wojna pochłania swoje ofiary. I tak przy tej potyczce straciłem dobrego mojego przyjaciela i współziomka, porucznika Kaweckiego, zabitego na miejscu kulą, która go w samo serce trafiła, gdy o 15 kroków przed frontem prowadził swój pluton do ataku. Był oficerem wielkich zdolności, przytem niezmiernie miły towarzysz, wskutek nadzwyczajnej odwagi kilkakrotnie już odznaczył się w poprzednich potyczkach. Pochowaliśmy go na cmentarzu w Tehuacan przy odgłosie strzałów armatnich, oddając mu ostatnie honory wojskowe. Biedny chłopiec będzie tu długo leżał na tej cudzej ziemi, tak daleko od wszystkiego, co kochał i co go kochało.

We dwa dni po potyczce 26 października, przyprawdzono nam trzech rannych liberałów, dwóch zbiegów francuskich i jednego indjanina. Podług istniejącego prawa każdy powstaniec ujęty z bronią w rękę,

winien być rozstrzelany w dwudziestu czterech godzinach po ujęciu. Nazajutrz więc na wielkim rynku odbyła się ta smutna egzekucja. Obaj francuzi, choć pokryci ranami, szli odważnie na śmierć, indjanin zaś był tak przygnębiony, że nie mógł się na nogach utrzymać. Musiano go na plac egzekucji zanieść i rozstrzelać pół leżącego, pół klęczącego. Od tego czasu już nastął spokój i nie słyszeliśmy więcej o Figuaroa i jego bandzie. Snać lekcja posłużyła. Wróciliśmy zatem do zwykłego trybu życia i nudów. Wieczorem 18 listopada ku wielkiemu zdziwieniu zajechał generał Thun w towarzystwie majora Zilicha pod eskortą 12 ułanów.

Na drugi dzień odbył przegląd na rynku naszych dwu szwadronów, którym dostała się pochwała za rozbicie dopiero co bandy liberałów. Wyjeżdżając, obiecał rotmistrzowi, że nas wkrótce przeniesie do Puebli, abyśmy zażyli wreszcie zasłużonego odpoczynku. Rzeczywiście w kilka dni później przyszło awizo, abyśmy się przygotowali do wymarszu. Czwartego grudnia przyszedł rozkaz, a 6 opuściliśmy Tehuacan, maszerując małymi etapami ku Puebli, do której dotarliśmy 10 grudnia. Podług zwyczaju wszyscy pozasłużbowi oficerowie z muzyką pułkową na czele, wyszli na nasze spotkanie aż do rogatek miasta i odprowadzili nas do koszar dla nas przeznaczonych.

Życie w Puebli nie różniło się wiele od tego, co w innych garnizonach, było tylko więcej różnaitości, zabaw i życia towarzyskiego, szczególnie z powodu liczniejszej załogi. Niedługo jednak korzystałem z tego odpoczynku. Już 18 grudnia wieczorem dostałem rozkaz

udania się do intendantury, tam mi oznajmiono, że mam zawieść do Tulancingo pieniądze, przeznaczone na żołd. Więc rano 19 grudnia z przydaną mi eskortą 7 ułanów, puściłem się w drogę, mocno skwaszony, że święta będę musiał przepędzić włącząc się po drogach publicznych.

Wieczorem dojechałem do San-Martino, nazajutrz do haciendy San-Nicolas, którą już poprzednio opisałem i w której równie serdecznie, jak gościnnie zostałem przyjęty. Stąd jednym ciągiem robiąc po 80 kilometrów na dobę, dojechałem do Tulancingo. Tam oddałem pieniądze komu należy, jeden dzień odpocząłem i puściłem się z powrotem do Puebli.

Dojechawszy do Apan, szukałem daremnie byle jakiej fondy, aby móc coś przetrącić będąc głodnym jak wilk, bo dwa dni przed Bożem Narodzeniem mieszkańcy zachowują bardzo ścisły post i kupić nic nie można. Na szczęście spotkałem znajomego doktora Francuza, który mnie zaprowadził do francuskiej restauracji, gdzie mogłem się pożywić. Na drugi dzień dotarłem z powrotem do San-Martino o 8 wieczorem i tam przepędziłem samotnie dla nas tak uroczysty wieczór wilji.

Położyłem się wcześniej spać i starałem się jak najprędzej zasnąć, abym wyobraźnią nie przenosił się do tego stołu, przy którym zgromadzona rodzina pewno wspominała o biednym tułaczku.

W sam dzień Bożego Narodzenia 1865 roku wyjechawszy wczesnym rano, dojechałem w południe do Puebli. Przy względnie wygodnych już podówczas komunika-

cjach w Europie, trudno sobie wyobrazić, co za ogrom zmęczenia przedstawia siedmiodniowa konna podróż forsowna, w gorącym klimacie. Nic też dziwnego, że ledwie się przyjechało do swojego mieszkania, pierwszym wymaganiem była kąpiel, aby się z brudu i pyłu oczyścić i zmęczone członki pokrzepić. Wieczorem 28 grudnia przyjechała cesarzowa, przyjmowana z zapalem przez miejscową ludność. Przepędziła 29-go w Pueli, a 30-go wyruszyła w dalszą drogę do Europy. Wszyscy wolni oficerowie od służby odprowadziliśmy ją konno na kilka kilometrów za miastem.

Ułożyliśmy się, aby wspólnie wesoło przepędzić Nowy Rok. Obstałowałem więc w hotelu Universel obiad na 25 osób z muzyką. Do północy bawiliśmy się przy kieliszku bardzo wesoło, aż któremuś na myśl przyszło pójść pod okna naszego jenerała i urządzić mu serenadę. Ruszyliśmy ławą poprzedzani muzyką. Biedny jenerał, który dopiero co wrócił z jakiegoś objazdu, zeszedł nam dziękować w duszy zapewne nas przeklinając.

Pierwszy stycznia 1866 roku przeszedł cicho. Drugiego zaś popołudniu, kiedy właśnie przed obiadem znajdowałem się w kawiarni, pijąc wódkę, słyszę naraz dość silny huk tak, jakby ciężko naładowana furajechała ulicą, pomimo dźwięku tłukącego się szkła i szyb, nie zwracam na to uwagi, naraz ziemia się usuwa z pod moich nóg, goście zlatują z krzesel, a mnie, który nigdy morskiej chorobie nie podlegałem, chwytają gwałtowne nudności. Wszystko co żyło i mogło się na

nogach utrzymać, wyleciało na ulicę. Tam lament i krzyki „*el templor*“, czyli po hiszpańsku trzęsienie ziemi. Razem z drugimi i ja wyleciałem, zatrzymując się dopiero w rynku, oczekując tam trzeciego uderzenia, które gdyby było nastąpiło, pewnie większą część miasta obróciłoby w gruzy. Przy każdym takich wstrząsających wypadkach bywają też i strony śmieszne, i tak naszego kolegę Maraviglia zastało trzęsienie ziemi śpiącego w łóżku. Nie rozumiejąc co się dzieje, w największym przerażeniu wybiegł jak z procy na ulicę, niepomny, że się znajduje w największym negliżu, bo w koszuli. Dopiero po uspokojeniu się ludności wrócił do mieszkania. Najlepszym dowodem przerażenia ludności było, że nikt nie zwracał uwagi na strój anormalny naszego porucznika. Długośmy się z niego śmiali, a on sam pierwszy nam wtórował. Szczęście, że to trzęsienie ziemi względnie mało szkód w Puebli wyrządziło, bo w Orizabie i Oajace wszystkie większe budynki i kilka kościołów zostało doszczętnie zniszczonych. W Maltracie nie pozostał ani jeden dom cały. Z powodu tak często ponawiających się trzęsień ziemi, bardzo rzadko spotyka się piętrowe kamienice, a nigdzie niema sufitów, tylko jest belkowanie, nawet w najzodobniejszych mieszkaniach.

Z początkiem właśnie 1866 roku zostałem przeniesiony z awansem z drugiego do piątego szwadronu. Równocześnie dostałem rozkaz eskortowania transportu dwóch milionów piastrow do Vera-Cruz. Ciekawy widok przedstawia taki transport. Wszyscy kupcy i aferzyści, którzy mają interesa w Vera-Cruz lub za-

granicą, przyłączają się do takiego konwoju, żeby się zabezpieczyć od hand rozbójniczych, grasujących w tym kraju. Trzydzieści ogromnych wozów, zaprzężonych każdy po szesnaście mulic, rozciągały się długim szeregiem, poprzedzone i otoczone naszymi ułanami. Był to swoją drogą nieznośny marsz. Wiatr szalony północny, „*norde*“, wiał prosto w oczy, podnosząc tumany kurzu, oślepiając i przenikając przytem do kości tak, jak u nas w mroźne dnie. Szczęściem, że w Orizabie mogliśmy cztery dni odpocząć.

W Orizabie komendantem powiatu był major Klein, który nas wieczór zaprosił do siebie na herbatę. Mieszkał obecnie tu ze swoją żoną, której wzięcie do niewoli przez Figuroa poprzednio opisałem. Było to prawie od półtora roku pierwszy raz, jak się znowu znalazłem w towarzystwie kobiety europejskiej. Powrót nasz z Vera-Cruz był jeszcze przykrzejszy, bo eskortowaliśmy transport broni do Puebli. Ledwieśmy do Puebli powrócili, dostaliśmy rozkaz powrotu do Tehuacan, przeznaczonego nam na przyszły garnizon. I tak, ledwie miesiąc, jak opuściłem tę paskudną dziurę, już się znowu w niej znalazłem. Nazajutrz po naszym przyjeździe do Tehuacan, szpiedzy donieśli nam, że banda powstańców zamierza napaść na Teotitlan, co nam po chwili potwierdziła depesza od miejscowego dowódcy, prosząca o pomoc. Nie wspominając więc nikomu o odebranych wiadomościach, kazał nasz rotmistrz w nocy o pierwszej alarmować, a już o drugiej byliśmy w drodze. Dojechawszy o 7 zrana do San-Sebastian, dowiedzieliśmy się, że wszystkie wiadomości były fał-

szywe, obliczone prawdopodobnie, aby nas męczyć, przerzucając z miejsca na miejsce bez powodów. Pozostaliśmy tam jednak dzień cały, a wróciliśmy spokojnie dopiero drugiego dnia do Tehuacan. W kilka dni później szwadron huzarów, garnizonujący razem z nami, dostał rozkaz powrotu do Puebli i opuścił nas ku wielkiemu naszemu żalowi. Pozostaliśmy sami, bo mało obcując z oficerami od piechoty, nie mieliśmy z nich żadnej pociechy. Z nudów więc przyszło mi na myśl, że należałoby jednak, mieszkając blisko dwa lata w tym kraju, nauczyć się jego języka. Miałem wprowadzić gramatykę Olendorfa, ale ta o tyle tylko była pomocą, o ile potrzebowałem się rozmówić, czy w restauracji, czy pytać o drogę przechodniów. Języka mogłem się tylko nauczyć od osoby niewładającej żadnym innym językiem. Wziąć profesora? Gdzie go znaleźć, znudziłby mnie niezawodnie prędko. Trzeba więc było szukać profesorki i to ładnej, żeby lekcje były powabne. Natrafiłem na żonę mojego golibrody, która się zgodziła, *en tout bien et tout honneur*, na jedną godzinę rozmowy dziennie. Przepędzałem więc godzinę w domu golarza i oto w dwudziestu dniach już tak mówiłem po hiszpańsku, że mogłem, jeżeli nie zupełnie płynnie, to przynajmniej poprawnie zdania wypowiedzieć. Cóż, kiedy moja profesorka opuściła Tehuacan, udając się do Meksyku, pozostawiając mnie znowu bez zajęcia. Ostatnie trzy dni karnawału umiejąc już się rozmówić, latałem po balach publicznych, szukając rozrywek, lecz niestety nie znajdując ich, tak wszystkie tu zabawy są mało ożywione. Zdawałoby się, że

to duchy, a nie ludzie tańczą. Jeden jest taniec jednak, który więcej przemawia do zmysłów i tańczony przez koryfeuszów sztuki tańca, może być nader nieprzyzwoity, choć tańczony bez najmniejszego zapału. Nazywa się *la Habanera* i jest z wyspy Kuby importowany, tak jednak wszędzie aklimatyzowany, że go tańczą w byle jakiej budzie. Uczyłem się go, by przy sposobności wprowadzić go do naszych zachowawczych salonów w Krakowie. Jaki by też efekt sprawił na godnych matronach. Taniec ten jednak przyjęty jako narodowy, tańczony bywa nawet na balach dworskich w Meksyku.

W pierwszy czwartek wielkiego postu, prefekt miejscowy wydał bal, na który wszyscy oficerowie nasi byli zaproszeni. Bal był bardzo ładny, mnóstwo pięknych pań, pomimo tego już około czwartej zrana wyniosłem się. Nieuniknione następstwa braku zajęcia, wywołały wśród naszego garnizonu fatalne skutki karciarstwa. Przepędzaliśmy teraz całą noc przy kartach. Ja się trzymałem jako tako, aż pewnego dnia noga mi się poślizgnęła i przegrałem, nie umiejąc się powstrzymać, oprócz całej gotówki, którą przy sobie miałem, jeszcze moje konie wierzchowe. Jednym słowem zostałem bez grosza. Opamiętanie przyszło zapóźno, byłem w ciężkiej desperacji. Na tyle tysięcy mil od kraju i bez możliwości znalezienia środków do dalszej egzystencji. Od tego fatalnego dnia straciłem całą wesołość i szukałem tylko sposobności, aby przy pierwszej potyczce zginąć.

ROZDZIAŁ VI.

Przez góry ku Oceanowi Spokojnemu. Nieudana akcja pod Soyaltepec. Odwrót do Tehuacan.

Następne dni przyniosły nam wiadomość o opuszczeniu Orizaby, lecz jak zwykle wieści były fałszywe, gdyż w kilka dni później nasza kompanja piechoty przybyła z Orizaby. Równocześnie przybył porucznik Mikel, donosząc nam, że jest projektowana wielka wyprawa ku Tustepec i że w tym celu mają się tu zebrać cztery kompanje piechoty i pół baterji artylerji, które z nami pod dowództwem majora Zilicha miałyby stąd wyruszyć.

W następną sobotę przybył major Zilich, aby objąć dowództwo, ku wielkiej naszej uciechy. Nareszcie zdarzała się niezawodna sposobność zderzenia się z nieprzyjacielem, bo szliśmy do niego, nie czekając, aby się do nas raczył zbliżyć.

O siódmej z rana 22 marca ruszyliśmy ku Teotitlan, koło wieczora doszliśmy do San-Sebastian. Po przepędzonej nocy stanęliśmy dopiero około drugiej popołudniu w Teotitlan. Stąd miały się zacząć nasze

operacje wojenne. Kapitan Sebastiani ruszył zaraz na-
zajutrz z jedną kompanją piechoty, jedną armatą
i z setką Indjan przez Tecumabaje i Cioitepec, tam miał
przejść rzekę Rio-Grande, potem trzymając się prawego
brzegu rzeki, miał się z nami połączyć w San-Domingo.
My zaś ruszyliśmy dopiero 25-go w kierunku ku San-
Bernardino i przeszedłszy przez tę wieś bez zatrzyma-
nia, dopiero kilka kilometrów za nią odpoczęliśmy
cztery godziny, po których podjęliśmy dalszą drogę.
W San-Bernardino przyjęto nas jak zbawców, przypu-
szczam jednak, że nie bardzo szczerze, tylko więcej
z obawy, choć liberały srodze dali im się we znaki,
nakładając podatki wojenne.

Z początku droga, idąca w górę, była znośną, lecz
wkrótce za San-Bernardino już straciła charakter drogi
publicznej i zamieniła się w kamienistą ścieżkę. Ta
ścieżka wijąca się i pnąca pod stromą górę, zaczęła być
tak wąską, że ledwie było miejsce na jednego konia.
Do tego wspinając się coraz wyżej, weszliśmy w strefę
mgieł, ale tak gęstych, że pochód stawał się coraz bar-
dziej niebezpieczny. Niedługo też czekaliśmy, aż je-
den koń poślizgnąwszy się, runął i złamał krzyże
w przepaści. Na domiar złego, raptem zapadła noc, jak
to bywa w podzwrotnikowych okolicach i uniemożli-
wiła nam dalsze posuwanie się. Bo też droga była nie-
łatwą, jeżeli się kroczyło po ścieżkach górzystych, po-
dobnych do perci dostępnych dla dzikich kóz.

Na czele pochodu szły trzy kompanje piechoty,
potem baterja artylerji górskiej na mułach, następnie
tren, złożony z 200 mulic i nasz szwadron w arjer-

gardzie. Wskutek tej mgły trzeba było chcąc niechcąc biwakować na najbliższej polance. O ciepłej strawie nie było co i myśleć, bo nie mając mięsa, nie było co gotować. Więc przetrąciwszy kawałek chleba, popijając go czarną kawą, obwinieci w nasze burki i koce końskie, siodło pod głowę, położyliśmy się na twardej ziemi, szukając we śnie zasłużonego odpoczynku. Już o czwartej z rana po źle wyspanej nocy puściliśmy się w dalszą drogę. Dojechawszy na szczyt góry do wsi San-Geronimo, już tam tylko tren i artylerję zastałem, gdyż komenda dowiedziawszy się, że Huahuatla zajęta jest przez nieprzyjaciół, całą naszą piechotę ruszyła naprzód. Huahuatla leży na wysokiej górze, 2.000 stóp mającej, naprzeciwko San-Geronimo, przedzielonej od tej wsi głębokim parowem. Tu przedstawił się nam wspaniały widok. Dwie nasze kompanje rozpuszczone w tyraljerkę, mając trzecią w rezerwie, wspinały się powoli pod górę. Od czasu do czasu pomiędzy górami podnosił się błądy obłok dymu, wskazujący wyżyny bronione przez liberałów. Nasi leniwie odpowiadali, krocząc wciąż naprzód i biorąc jedną pozycję po drugiej na bagnety, przed którą-to bronią żaden Meksykanin nie wytrzyma. Wkrótce też przypadł adjutant majora z rozkazem, aby zaraz tam wysłano pół szwadronu ułanów. Jako najstarszego oficera w szwadronie, odkomenderował mnie rotmistrz na czele 1 i 2 plutonu. Jednym galopem przelecieliśmy po tych skalistych wzgórzach, wprawdzie zupełnie niepotrzebnie, bo nieprzyjaciół prędko się ulotnił i nie było już potrzeby pościgu.

Zaraz po przybyciu na miejsce reszty naszej kolumny, rozpoczęło się polowanie na wieprze, bo nie mając wołów, to jedno mięso pozostawało nam do użytku kuchennego. Wieczorem woleliśmy spać na dworze, jak w chałupach, rojących się różnem robactwem, a przytem dusznych. Wczesnym rankiem drugiego dnia wymaszerowaliśmy i dopiero około piątej wieczorem dotarliśmy do San-Juanito, zupełnie wyczerpani. Wieś zastaliśmy przez mieszkańców opuszczoną, którzy nie wiedzieć z jakich powodów przed nami uciekli, szczęściem, że wszystkiego z sobą nie zabrali. Znaleźliśmy też spore zapasy kukurudzy, którąśmy naszym koniom podali. Biedne zwierzęta były od trzech dni tylko trawami karmione, które można było podczas postojów zebrać. Za dni kilka, 28-go rano, gdy konie nasze nabrały sił, ruszyliśmy w dalszą drogę. Okolice, przez które przechodziliśmy od San-Juanito do Ayautly były najwspanialsze, jakie kiedykolwiek zdarzało mi się widzieć.

Od San-Juanito, wsi leżącej na samym grzbiecie gór, dzielących wody Oceanu Spokojnego od Atlantyku, ciągle się schodzi aż do Ayautly, znajdującej się już w strefie gorącej. Góra więc ta dzieli się na trzy klimaty zupełnie odrębne. Na szczycie jest *terra fria*, czyli ziemia zimna, następnie *terra templada*, czyli umiarkowana, nareszcie *terra caliente*, czyli gorąca, tak, że w przeciągu kilku godzin przechodzi się przez trzy różne klimaty, mające swoje odrębne cechy i florę. Trudno opisać wspaniałość wegetacji w strefie gorącej, przedstawia się naszym oczom jak nieporównana ogro-

mem oranżerja. Ze wszystkich stron kwitnące najcudowniejsze różnobarwne kwiaty, o których pojęcia nie mamy, o woni odurzającej, lecz niemniej przyjemnej. Na tych wspaniałych kwiatach, same do kwiatów podobne cudne ptaszęta, mniejsze od motyli, mieniające się w promieniach słońca barwami drogich kamieni. Tu znów motyle większe od ptasząt, jaskrawemi pokryte farbami, roją się na wszystkie strony. Tam drzewo, okryte jakgdyby zielonemi owocami, lecz nie, to papużki zielone, które setkami zrywają się za naszym zbliżeniem gwarząc przeraźliwie i odlatując, jak chmura kolorowa w daleką przestrzeń. Gdzieś tam poważne Ary czerwone, zielone, niebieskie i żółte, z ogromnemi ogonami na metr długości, przelatują jak komety nad naszemi głowami. Między olbrzymiemi drzewami ciągną się, grube jak sznury okrętowe, liany, wiążące w jedną masę tę wspaniałą vegetację. Na nich huśtają się i wyrabiają karkołomne sztuki małpy, przeróżnych gatunków.

Dziko rosną tu wszystkie owoce podzwrotnikowe. Słowem, przepych tej bujnej natury jest tak wielki, że kto raz miał szczęście widzieć cuda tej ziemi, jeszcze ludzką ręką nie popsutej, może dopiero zdać sobie sprawę z bogactw i płodności tego pysznego kraju. Dla ludzi jedynie straszne gorąco jest tu tylko czarną stroną. To też pomimo naszego podziwu, po cztero-godzinnym marszu przez ten raj, dotarliśmy do Ayautli zupełnie wyczerpani. Zastaliśmy wioszczynę opuszczoną, mimo, że była ufortyfikowana. Rozbiliśmy obóz, aby przeczekałszy wielki południowy

upał w chłodniejszej chwili popołudniowej odbyć dalszą drogę. Tu doszedł nas posłaniec od kapitana Sebastianiego, donoszący, że wypędziwszy nieprzyjaciela z Teotitlan, poszedł dalej do San-Domingo, gdzie na nas czekać będzie. Pomimo, żeśmy dopiero popołudniu dalej mieli ruszyć, piechota nasza była jednak tak zmęczona, że musieliśmy się zatrzymać i przepędzić noc nad brzegiem rzeki, stanowiącej dopływ Rio-Grande, w obozie widocznie już przed nami używanym, bo był nawet nie źle obwarowany. Skorzystaliśmy z bliskości wody, aby o siódmej wieczorem wziąć kąpiel, nietyle orzeźwiająca, jak oczyszczająca, bo od wyjazdu z Teotitlan, nietylko nie mieliśmy czasu zmienić bielizny, ale nawet butów zdjąć nie było można.

Wiedząc, że nasza wyprawa miała się odbywać w strefie gorącej, wziąłem z sobą hamak, aby o ile możliwości nie spać na gołej ziemi, mając wogóle wstręt do węzów i płazów. Właśnie nadarzyła się chwila stosowna użycia mojego hamaku. Kazałem go rozpiąć wysoko między drzewami i po kąpeli i kolacji śpiąc smacznie i bez obawy gadów przepędziłem noc całą w powietrzu.

Następnego dnia nieszczęście chciało, że przypadł właśnie mój dzień dyżurny, przeznaczony dla objęcia komendy tylnej straży. Nazywałem to nieszczęściem, gdyż przy trenie o 200 mułach, co chwila zatrzymujących się, cały pochód wlecze się i zniecierpliwia do najwyższego stopnia ludzi i konie. Tego właśnie dnia, ledwie byliśmy trzy godziny w marszu, kiedy cały tabor

się zatrzymał. Każę ludziom zsiadać z koni, bo widzę, że się na dłuższy postój zanosi. Nareszcie znudzony, po pół-godzinnem czekaniu, przewijając się między mułami z powodu wąskiej ścieżki, dochodzę do miejsca, gdzie zebrani poganiacze leżą sobie na drodze, nie myśląc wcale o dalszym pochodzie. Energicznie i demonstracyjnie wziąłem się do nich, lecz darmo, bo zaprowadziwszy mnie do miejsca, wskazują na przeszkodę, tamującą ruch. Był to istotnie wąwóz tak ściśnięty, że przejście między dwoma skałami było tylko możliwe jednemu człowiekowi, muła zaś obładowanego nie było sposobu przeprowadzić. Trzebaby więc było wszystkie ładunki zdjąć, na plecach przenieść, potem znowu na muły naładować, wszystko robota, któraby kilka godzin czasu wymagała. Szczęściem cały wąwóz nie był głębszy na dwa metry. Z jednej strony wpadał wprost do rzeki, z drugiej łączył się z bystrą i wysoką górą, jednym słowem nie było sposobu go ominąć. Postanowiłem więc, co łatwiej mi się wydało, mając materjał pod ręką, zawalić kamieniami całą tę przestrzeń dwumetrową i w ten sposób, robiąc rodzaj schodów, przedostać się na drugą stronę. W tej chwili zaprząłem całą straż tylną do roboty i w przeciągu trzech godzin udało się nam cały transport przeprowadzić.

Pomimo przyspieszonego marszu, dopiero o czwartej popołudniu dotarliśmy do Jalapy, gdzie już rano kapitan Sebastiani był się z nami połączył. Tutaj dowiedzieliśmy się, że nieprzyjaciel jest albo w Ixcatlan albo w Soyaltepec, które to miejscowości są zaledwie

o kilkanaście kilometrów od siebie odległe, a ta bliskość sprawiła nam wielką radość.

O szóstej wieczorem, gdy byliśmy zebrani przy obiedzie, przednia nasza straż przyprowadziła nam Indjanina, niosącego depeszę Figuaroa do jednego ze swych podwładnych, donoszącą, że się znajduje w Oj-itlan, skąd jutro wieczór wymaszeruje do Soyaltepec, do głównych sił swoich. Majorowi Zilichowi przyszła niefortunna myśl wzięcia do niewoli Figuaroa, nim się połączy ze swoimi. W tym celu dał rozkaz siódmej kompanji piechoty i 100 Indjanom, którzy tworzyli kompanję pomocniczą i naszemu szwadronowi, aby byli gotowi do wymarszu o północy.

Dało to początek wszystkich naszych nieszczęść. Później dopiero dowiedzieliśmy się, że Figuaroa chcąc podzielić nasze siły, umyślnie wysłał tego posłańca, by się dał złapać. Ruszyliśmy więc w piękną noc Wielkiego Czwartku 29 marca 1866 roku. Wkrótce jednak niebo się zachmurzyło i ulewny deszcz nam bardzo dokuczał. Nareszcie po niemożliwej drodze, którą, gdyby była dobra, jeden taki deszcz potrafiłby zamienić na niemożliwą, dojechaliśmy nad ranem do Oj-itlan. Pamiętam, że byłem tak śpiący, że w siodle zasypiałem i z obawy spadnięcia z konia, wciąż paliłem cygara, by nie dopuścić snu.

Nie czekając na naszą piechotę, ożywieni ochotą wzięcia Figuaroa do niewoli, puściliśmy się galopem pod wzgórze, na którym leży Ojitlan i jednym pędem wpadliśmy do wsi. Tu zastaliśmy tylko kilkunastu żołnierzy, którzy wypaliwszy do nas, prawdopodobnie

z pod pachy, bo bez skutku, uciekli w lasy, gdzie było niepodobieństwem dalej ich ścigać.

Po należyтым odpoczynku dla ludzi i koni, nasz rotmistrz hr. Tacco, komenderujący całym oddziałem, niespokojny, że żadnych wiadomości niema od głównego oddziału, wysłał podjazd do Ixcatlan, oddalony ledwie o 7 kilometrów, z rozkazem, aby koniecznie dotarli do majora Zilicha i przywieźli wiadomości. W Ojitlan zastaliśmy znaczne zapasy żywności, więc po spożytej z apetytem kolacji pokładaliśmy się spać około 9 wieczorem, ale ubrani, żeby być gotowi na każdy wypadek. Jeszcześmy nie zasnęli, kiedy podjazd wrócił, przynosząc nam najprzykrzejsze wiadomości. Otóż major Zilich podsunął się pod sam Soyaltepec, pozycję bardzo silnie obwarowaną i chciał z jedną kompanją piechoty zdobyć fortecę, bronioną przez 1600 dobrze uzbrojonych ludzi. Nie można było tego postępku nazwać odwagą, lecz zuchwalstwem, to też po naszym powrocie i skończonej ekspedycji, dostał się major Zilich pod sąd wojenny. Nie mogąc niczem wytłómaczyć swego postępowania, z powodu którego tyle żyć ludzkich padło ofiarą i naraził naszą dobrą sławę, został ze służby wydalony.

Koniec końców nasza kompanja została odpartą z ogromnemi stratami. Dwóch poruczników rannych, jeden lekko, drugi ciężko kulą w brzuch. Biedak po trzech - miesięcznych cierpieniach umarł w szpitalu w Tehuacan. Co pogorszyło także w znacznym stopniu nasze położenie, to okoliczność, że cofając się nie miał major kawalerji, aby zabezpieczyć odwrót piechoty,

użył więc artylerji, lecz ta nie mając również zabezpieczenia, znalazła się w bardzo krytycznem położeniu. Powstańcy, widząc słabość naszych sił i brak kawalerji, rzucili się ławą naprzód. Porucznik baterji, spostrzegłszy, na co się zanosi, nie mając już czasu się cofnąć, kazał wstrzymać ogień, odwrócił ku drodze wyloty swych armat i przypuściwszy nieprzyjaciela na dwadzieścia pięć kroków, plunął im naraz kartaczami w oczy obalając ich do góry nogami. Trzy razy jednak próbowali zdobyć nasze armaty i tylko zimną krwią porucznika i sprawnością ludzi ocalały. Nareszcie jeden pluton naszego szwadronu, który był został przy głównym korpusie, nadbiegł i ich oswobodził. Równocześnie z temi smutnemi wiadomościami przyszedł rozkaz czempredziej powracać do Ixcatlan, aby nie być odciętymi. Pomimo więc nocnego marszu przeszłej nocy, wyruszyliśmy natychmiast. Było to 30 marca w Wielki Piątek. Zmęczenie jednak było większe, niż nasza dobra wola, gdyż kiedy o trzeciej z rana zatrzymaliśmy się na chwilę, aby odetchnąć, wszystko co żyło położyło się na ziemi i zasnęło twardym snem. Żeby nie jeden oficer, który się poświęcił i czuwał i nas obudził, Bóg wie, jak długo bylibyśmy spali. Pokrzepieni jednak tym krótkim odpoczynkiem, przybyliśmy około siódmej z rana do Ixcatlan, zastając naszych towarzyszy pogrążonych w wielkim wstydzie i zmartwieniu, nie byli bowiem przyzwyczajeni do takich niepowodzeń.

Zaraz po naszym powrocie zebrano radę wojenną, aby postanowiła, co ma się dalej robić. Przedstawiąły

się dwa sposoby wyjścia z przykrego położenia. Albo, zaraz nazajutrz z wszystkimi siłami, oprócz artylerji, której brak było amunicji, napaść na Soyaltepec i zdobyć szturmem, albo zabarykadować się w Ixcatlan i czekać na amunicję i posiłki z Puebli. To drugie zdanie, jako rozsądniejsze, przeważało. Zaraz też zabraliśmy się do dzieła, żeby naszą pozycję obwarować.

Kościół w Ixcatlan był zbudowany na wyżynie, górującej nad całą okolicą. Po lewej jego stronie stoi dość duże probostwo, po prawej mały domek. Na tym pagórku skoncentrowaliśmy się, okalając całą przestrzeń silnym murem, aby się ochronić od nocnych napadów. Zabezpieczywszy się w ten sposób przed nieprzewidzianymi napadami, pomyśleliśmy o rozkładzie ogólnym dla naszych żołnierzy.

Rannym został wyznaczony jeden pokój w probostwie, drugi zajęli oficerowie, a było nas zgórą dwudziestu. Konie przywiązano do bocznych ścian kościoła, artylerję przed kościołem na platformie, dominującej nad okolicą, piechotę zaś częściowo pod namiotami albo w kościele. O czem jednak nie pamiętaliśmy, a co było niezmiernie ważnem, to, że kościół i probostwo było słomą kryte, trzeba więc było koniecznie, żeby się od pożaru zabezpieczyć, znieść wszystkie chałupy, otaczające nas w rejonie sto-metrowym, które przy najmniejszej sposobności wysuszone jak pieprz, w tej gorącej strefie palą się jak zapałki. Niedługo też czekaliśmy, aby się przekonać o naszej nieostrożności. Na drugi dzień po naszej instalacji, ledwie zatrąbiono na capstrzyk, aż tu wszystkie chałupy naokoło nas za-

czynają się jak pochodnie palić. W pierwszej chwili zrobił się zamęt okrutny, gdyż gdyby był się kościół lub probostwo zajęło, nie bylibyśmy mogli wytrzymać żaru na tak ścieśnionej przestrzeni. Pomieszanie wzmoгло się tem, że gdy nasi ludzie wyszli, by ratować płonące chałupy albo je przynajmniej zburzyć, z krzaków okolicznych sypał się na nich gęsty karabinowy ogień, szczęściem, że wiatr się obrócił i u nas nic się nie zajęło. Nie czekając też drugiej próby, zaraz na drugi dzień zdejmowaliśmy słomę z dachu kościoła i probostwa i słusznie, gdyż od tego dnia mieliśmy co dzień pożary, póki cała wieś nie poszła z dymem.

Niedługo jednak przyszła inna dotkliwa klęska, — brak żywności. Jedyne wieprze, które były pozostały, dostarczały nam mięsa, lecz i tych wkrótce brakło i trzeba było myśleć o dalszem zabezpieczeniu egzystencji. Już mąka nam się skończyła, zastąpiliśmy ją kukurudzianą, potem grochową. Dalekie rekonesanse przynosiły nam czasami mięso wołowe, i to z wołów, które się napotykało i zabijało, na miejscu ćwiartowało i kawałami przywoziło. Lecz to mięso z powodu zbytniego gorąca już na drugi dzień było nie do spożycia, trzeba nam było koniecznie żywych zapasów.

Pewnego więc poranku o czwartej zrana dostałem rozkaz wymaszerowania z moim plutonem, gdzie mi się podoba, byle bym dostarczył żywych wołów. Zadanie nie było łatwe, bo gdzie ich szukać w tym labiryncie ścieżek, krzyżujących się na tej ogromnej przestrzeni podzwrotnikowego dziewiczego lasu. Wyruszyłem zatem na chybił trafił przed siebie. Jak tylko się

rozwidniło, natknąłem się szczęśliwie na polance obok rzeki Rio-Grande, na stado pasących się wołów. Ponieważ te zwierzęta pasą się od młodości bez dozoru na tych dzikich przestrzeniach, rzadko kiedy się z człowiekiem spotykając, są przeto niezmiernie płochliwe. Cała sztuka leżała w tem, aby je żywcem dostać. Jak już wspominałem, las jest tak gęsty, że trudno, prawie nawet niemożliwe zbaczanie z raz obranej ścieżki. Zostawiłem zatem ukrytych trzech ułanów na ścieżce, sam zaś z resztą moich ludzi przeszedłem przez polankę i dopiero na drugiej stronie rozpuściłem ich jako nagonkę. Woły, widząc na co się zanosi, puściły się pędem ku ścieżce, lecz tam moich trzech ułanów wstrzymywało ich pęd, klując ich lancami, my zaś naganiali, i tak po trzech godzinach marszu całą trzodę, liczącą 17 sztuk, dopędziłem do Ixcatlan, gdzie mnie jak zbawcę przyjęto.

Tu muszę jeszcze wspomnieć o strasznej gorącu, które nas prześladowało. W tym jednym marszu musiałem kilkakrotnie koniom krew puszczać, gdyż padały na drodze, rażone udarem słonecznym. To samo działo się z ludźmi, choć w najłżejszych ubraniach. Najzabawniej wyglądaliśmy my oficerowie, bo z powodu gorąca chodziliśmy tylko w bieliźnie, a który miał służbę, przypasywał na oznakę pałasz i ładownicę.

Nareszcie 23 kwietnia przyszła amunicja i szturm na Soyaltepec został na 25znaczony. Siódma kompanja piechoty z pomocniczą kompanją Indjan i jedną armatą, miała polecone obejść fortecę i atakować od prawej strony. Ósma zaś i contra-guerilla wraz z resztą

artylerji miały z frontu podchodzić i szturmować. Co do naszego szwadronu, mieliśmy polecenie wraz z pięćdziesięciu Indjanami, udać się do Ojitlan i tam czekając na odwrót nieprzyjaciela, przeciąć mu drogę do Tuxtepec i zmusić go w ten sposób, aby przekraczając rzekę Rio-Tinto, jedyną mu pozostałą drogę, wyszedł na rozległe bezleśne równiny z tamtej strony rzeki, gdzie byśmy go łatwo znieść mogli. Około czwartej z rana wyruszyliśmy wszyscy. My przez Jalapę na Ojitlan. Już dojeżdżając do Jalapy, słyszeliśmy huk armat, co nam większą dodało otuchę i maszerowaliśmy czemprowadzając dalej, aby dochodząc na czas do Ojitlan, odciąć nieprzyjacielowi drogę do Tuxtepec. Około jedenastej przedpołudniem ogień ustał, a o dwunastej wchodząc do Ojitlan spodziewaliśmy się co chwila spotkać nieprzyjaciela. Lecz godziny mijały i z żadnej strony nie mieliśmy wiadomości.

Kiedy dzień cały mijał bez wieści, zaczął niepokój wzrastać i obliczaliśmy już możliwe i niemożliwe okoliczności, które zajść mogły. Nareszcie trzeciego dnia o piątej z rana huk dział się odezwał, jak również silny ogień karabinowy. Z naszego pagórka za pomocą lunet obserwujemy plac boju, z powodu jednak odległości, nic rozróżnić nie jesteśmy w stanie. O ósmej z rana ogień ustaje raptownie i jesteśmy przekonani, że nasi zdobyli Soyaltepec. Tymczasem znów dzień cały mija i niema żadnych wiadomości. W wilję tego dnia nasz rotmistrz Tacco, zniecierpliwiony tem wyczekiwaniem, wysłał podoficera z podjazdem, aby się czegoś na wszelki sposób dowiedzieć. Dopiero o siódmej wie-

czór wrócił podoficer, przywożąc nam przygnębiające wiadomości.

Nie przypuszczono szturmowi 25, gdyż siódma kompania nie była w stanie obejść fortecy, napotykając po drodze nieprzewyciężone trudności i przeszkody. Ostrzeliwano więc tylko fortecę z dział. Ponieważ nie było możliwości obejścia fortu, postanowiono 26 atakować go z frontu wszystkimi siłami naraz. Wszystkie więc cztery kompanie poszły wspólnie do szturmowi, lecz 17-ta, która zaraz z początku straciła swojego kapitana, pomimo nalegań oficerów, cofnęła się. Tamte trzy kompanie poszły naprzód i doszły pod same mury, na które wdrapać się nie mogły, czekając na 17-tą, która im drabin dostarczyć miała. Opuszczone wskutek cofnięcia się 17-tej kompanii, po stracie 115 ludzi, musiały się cofnąć. Na domiar nieszczęścia, obóz nasz w Ixcatlan, gdzie były wszystkie nasze bagaże, amunicja i prowianty, zostawione tylko pod opieką służby, został tymczasem napadnięty z tyłu przez bandę trzystu ludzi i byłby niechybnie wzięty, gdyby nie wypadek, że w tej samej chwili dojeżdżał do Ixcatlan nasz podjazd, wysłany po wiadomości. Dzielny nasz podoficer, nie namyślając się ani chwili, z ogromnym krzykiem hurra, wpadł na rabusiów, którzy przekonani, że cały nasz szwadron bieży na odsiecz, uciekli sromotnie.

List majora Zilicha donosił nam równocześnie o śmierci kapitana Sebastianiego i porucznika Emila, oraz o ciężkim zranieniu kapitana Krikla. Przytem rozkaz trzymania się jak najdłużej możliwie w Ojitlan, gdyż cała kolumna miała się tedy cofać ku Tuxtepec.

Rozkaz ten był absurdem pod każdym względem, tak samo jak myśl cofania się ku Tuxtepec. Wszyscy to jednogłośnie uznaliśmy. Gdyż Ojitlan położony między lasami, był dla kawalerji miejscem nie do obronienia w razie ataku, i znaczył tyle, co poświęcenie całego szwadronu dla problematycznego ratowania się, ponieważ na drodze do Tuxtepec znajdował się wąski wąwóz, nazwany Passo de Canowa, który prawdopodobnie nieprzyjaciel będzie się starał zająć, nim nas tu zaczepi, aby nam drogę odwrotną zamknąć. Wskutek tego nasz rotmistrz zważając, że siedzenie na miejscu może tylko cały szwadron na zgubę narazić, bez pożytku dla nikogo, rozsądził, że będzie dużo korzystniejsze natychmiastowe zajęcie wąwozu Passo de Canowa, jak czekać na miejscu. Mając przytem 80 ludzi piechoty, mogliśmy ten wąwóz zająć, zabezpieczyć, sami zaś jechać do Tuxtepec i tam przygotować kwatery i prowianty dla całego korpusu. Wskutek tej decyzji w tej chwili został wysłany posłaniec do majora Zilicha z raportem, w którym mu tłumaczono dlaczego rozkaz jego był niewykonalnym i donosząc o naszych następnych ruchach. My zaś, nie tracąc czasu, ruszyliśmy natychmiast w drogę.

Wszystko poszło doskonale aż do wąwozu Passo de Canowa, gdzieśmy stanęli około północy. Tu dopiero zaczęły się nasze kłopoty, tem gorsze, że ruszyliśmy wbrew rozkazowi. Wąwóz nie był zajęty, ale zawalony i żeby go oczyścić, potrzebaby było kilkuset ludzi i kilka dni roboty. W tym kraju, gdzie wąskie ścieżki wśród dziewiczego lasu stanowią całą komu-

nikację, zawalenie drogi odbywa się w jak najprostszy sposób. Z dwóch stron drogi na przestrzeni kilkuset metrów wybiera się największe drzewa, które się ścina i zwała po obu stronach wpoprzek drogi. Te olbrzymy, obwinięte jak maszty okrętowe niezliczoną ilością lian, waląc się, porywają za sobą mniejsze drzewa tak skutecznie, że przy małej stosunkowo robocie zatamują drogę do tego stopnia, że żaden zwierz się przez ten zasiek nie przedrze. Nie było chwilowo co robić, więc korzystając z przymusowego odpoczynku, Maraviglia i ja, przykryci od wilgoci liściem bananu, jak w raju, ułożyliśmy się do snu. Niedługo jednak odpoczywaliśmy, gdyż nas obudziły różne nawoływania. Był to posłaniec od głównego oddziału, przywożący nam rozkaz natychmiastowego połączenia się z nim, gdyż oddział cofał się nie w kierunku Tuxtepec, lecz Teotitlan. Bardzo radzi z tego rozkazu, tem więcej, że i tak dalsza droga była nam zamkniętą, cofnęliśmy się do Ojitlan i nie zatrzymując się w tej miejscowości, podążyliśmy wprost na Jalapę, gdzie dopiero o 4 popołudniu zdążyliśmy się z głównym oddziałem połączyć. Lecz w jakim stanie rozpaczliwym. Żołnierze obdarci, wynędzniali, zgłodniali, nie mieli od trzech dni oprócz owoców i placków z kukurudzy, *tortilie* nazwanych, nic w ustach. Ranni w ilości do sześćdziesięciu, niektórzy ciężko — ci byli noszeni przez swych towarzyszy, drudzy lżej, wlekli się na mułach, wzdychając głęboko i krzycząc przeraźliwie za każdym gwałtowniejszym ruchem. Co chwila któryś ranny umierał, bo wskutek straszliwego gorąca i braku należytej opieki, mała stosunkowo ranka, prze-

mieniała się w cuchnący i gryzący wrzód. Ponieważ brakło czasu, aby tych umarłych grzebać, rzucało się trupy poprostu w przydrożne krzaki, gdzie się na nie zlatywały z żarłocznością stada towarzyszących nam zoopilotów, tych grabarzy pustyni. Był to okropny widok i serce się krajało widząc tę nędzę, nie mając środków zaradczych. O piątej ruszyliśmy dalej, a o siódmej stanęliśmy w San-Domingo, gdzie po przejściu rzeki rozłożyliśmy się obozem.

Dzień cały 28-go przepędziliśmy konno bez wytchnienia, łatwo też pojąć nasze zmęczenie, dodając do tego nieuniknioną depresję moralną. Wskutek tego ledwieśmy dojechali, każdy byle gdzie się położył, zasnął twardym snem, zapominając choć chwilowo o okropnych scenach, których był świadkiem. Rano 29 kwietnia udaliśmy się ku Teotitlan, naprzeciwko oddziałowi Indjan. przeznaczonych do noszenia rannych, główne zaś siły miały dopiero nazajutrz ruszyć. Z Teotitlan poszliśmy w dalszą drogę do Chiuistlan i tam przeznaczono, aby 7, 8 i 17 kompanja pozostały w miejscu, nasz zaś szwadron razem z contra-guerillą miał odprowadzić rannych do Tehuacan.

Był to jeden z przykrzejszych marszów, gdyż te same sceny, których byliśmy świadkami temu dni kilka, powtarzały się z tą tylko różnicą, że zamiast wyrzucać w krzaki ciała zmarłych rannych, grzebaliśmy je po drodze. Stąd ciągle wstrzymywanie pochodu i przygnębiające wrażenie. I tak wlokąc się, doszliśmy do Santa Anna, gdzie przepędziliśmy noc. Drugiego maja ruszyliśmy dalej do Coyutla, gdzie dopiero późno w no-

cy dotarliśmy. Następnego dnia w Cioitepec, przyniósł nam posłaniec wiadomość, że Teotitlan było w wilję z wielką zaciekłością atakowane, lecz szczęśliwie obronione. Znaleźliśmy się w wielkim kłopotcie, przekonani, że wskutek tego ataku droga na Tecumbacha będzie przeciętą, z transportem rannych i bez opieki piechoty zagranicznej, trudnoby stawić czoło w razie zaczepki, rozwiązanie zadania było ciężkie. W tem smutnem położeniu nasze forpoczty dają nam znać, że wojsko jakieś się zbliża. Była to na szczęście odsiecz, złożona z 13-tej kompanji piechoty i 4 szwadronu ułanów, którą nam major Hotze z Oajaci wysyłał. Jeszcze tego samego dnia maszerowaliśmy dalej i stanęliśmy wieczorem w Tecumbaju, skąd na drugi dzień dotarliśmy do Teotitlan. Tam po jednodniowym odpoczynku, więcej rannym, jak nam potrzebnym, ruszyliśmy dalej i 7 maja 1866 roku wkroczyliśmy zpowrotem jak niepyszni do Tehuacan. Taki był koniec kampanji majora Zilicha.

ROZDZIAŁ VII.

U stóp Popocatepetl. Straty w korpusie oficerskim. Potyczka pod Tlaxcala. Najście Tlaxcala przez republikanów. W oczekiwaniu abdykacji cesarza. Rozwiązanie korpusu. Rok 1867. Powrót z cesarzem do stolicy. Mój awans i dekoracja.

W samym Tehuacanie obiegały najprzeróżniejsze wieści, między niemi, że nasz korpus miał przejść pod komendę francuską, a nasz generał Thun miał wracać do Europy. Tym plotkom dawano pewną wiarę, gdyż przyszły korpuśne rozkazy, które przeczyły sobie. Jedni utrzymywali, że generał miał być chory, drudzy, że pojechał do Meksyku, aby podać swoją dymisję, nie chcąc służyć pod francuskimi rozkazami, słowem zamieszanie ogólne. Jedno tylko było pewne, że wszyscy oficerowie byli zdecydowani podać się raczej do dymisji, jak służyć pod francuską komendą. W tym też sensie napisaliśmy prośbę do generała, zaklinając go, aby pozostał na naszym czele. Czy z powodu naszych prośb, czy innych, dość, że generał Thun pozostał, a pułkow-

nik Zach, szef sztabu, któremu zarzucano porozumienie z Francuzami, otrzymał dymisję i wyjechał do Europy.

Widocznie byliśmy przeznaczeni, aby przejść wszystkie możliwe wzruszenia. Rano 10 maja udałem się z Maraviglią do starego na pół rozpadającego się kościoła Carmen, służącego obecnie jako magazyn wojskowy dla garnizonu. Dostawszy się aż poza romanikę, szukając między najprzeróżniejszymi przedmiotami naszych kufrów, tam poprzednio złożonych, kiedy naraz gwałtowne falowanie ziemi połączone z hukiem zakołysało całym budynkiem. Odrazu zrozumiałem co to znaczy i podnosząc oczy do góry, widziałem jak z sklepienia, które się zaledwie razem trzymało, ogromne odrywały się głązy. Nienamysłając się ani chwili, mając Maraviglię na piętach, jak jeleni ścigany przez zajadłą psiarnię, przeskakując wszystkie przeszkody, biegłem co tchu starczyło do głównych drzwi kościoła, słysząc huk spadającego wkoło mnie gruzu. Zaledwie byliśmy za portalem, kiedy za nami runęły sklepienia organowe. Przytomności jednak nie straciłem, bo ledwie na dworze, obejrzałem się i widząc stojącą jeszcze wieżę kościelną, któraby mogła na nas runąć, pobiegliśmy dalej na wolne od budynków miejsce. Tu dopiero spojrzawszy na siebie i widząc obopólne wzruszenie, malujące się na bladych obliczach, taki nas nerwowy pusty śmiech ogarnął, że niemogliśmy się uspokoić. Niemogę z niczem innym porównać wrażenia trzęsienia ziemi, jak tylko z krótką agonją, która tem silniej

działa na organizm, im krócej trwa. Przygnębiającem jest to wrażenie niepewności na ziemi, gdy i ona już pewną opieką zdaje się nie być. Dość, że powin-szowaliśmy sobie wzajemnie szczęśliwego wyjścia z tej imprezy.

W pierwszych dniach lipca, mój szwadron dostał rozkaz wymaszerowania do Puebli. Co do mnie, wła-śnie w tym czasie zachorowałem na dość silną go-rączkę i musiałem na miejscu pozostać. Dopiero około 10 lipca dagnałem ich, lecz jeszcze tak osła-biony, że w Puebli musiałem iść do szpitala na dwa tygodnie, żeby się gruntownie wyleczyć.

Wieści niepomyślne, o których wspominałem, krążyły wciąż między nami. Oficerom nie wypłacono za lipiec gaży, wskutek czego przypuszczano ogólne rozwiązanie naszego korpusu. Z końcem lipca obję-liśmy garnizon w Atlisco, oddalone o kilka mil od Puebli. Zaledwie bawiliśmy tam kilka dni, kiedy nie-korzystne wiadomości z południa spowodowały na-sze przeniesienie do Matamoros. Mnie kapitan kazał jechać zpowrotem do Puebli, tam zabrać pieniądze, potrzebne na żołd dla ludzi, a 1 sierpnia połączyć się z szwadronem w Matamoros.

Rano dnia 29 lipca w towarzystwie tylko mojego ordynansa pojechałem do Puebli, gdzie już około 10 z rana stanąłem. Zaraz po przyjeździe poszedłem się zameldować naszemu pułkownikowi, który mnie bar-dzo łaskawie przyjął i aby mi oszczędzić wydatków, ofiarował mieszkanie u siebie, co też z wdzięcznością przyjąłem. Pieniądze w sam dzień 1 sierpnia otrzy-

małem, zaraz też o 1 wyjechałem do Atlixco, gdzie na mnie oczekiwał konwój złożony z siedmiu ułanów. Dopiero około północy dojechałem do Matamoros.

Matamoros-Jzmar, bo tak się nazywa ta mała miejscina, położona już w strefie gorącej u stóp wulkanu Popocatepetl, otoczona jest z wszystkich stron bogatymi haciendami, czyli ogromnymi folwarkami, z których każdy posiada fabrykę cukru. Z tej okolicy rząd ciągnie ogromne korzyści i stara się dawać mieszkańcom opiekę przed powstańcami, stąd też nasza tam bytność. Te haciendy podobne do tej, którą już opisywałem, są małymi fortecami, różnią się tem tylko od północnych haciend, że tamte produkują pulke i hodują olbrzymie stada koni i bydła, kiedy te około Matamoros zajmują się tylko produkcją trzciny cukrowej, dochodzącej tutaj do wysokości 6—7 stóp. Utrzymują też prawie wszystkie własne zaciężne wojsko. Można sobie zdać sprawę z zamożności tych haciend, kiedy z powodu braku wody, jedna z tych fabryk wystawiła własnym kosztem wodociąg, 6 kil. długości, 30 stóp wysokości a 6 szerokości, cały zbudowany z kamienia i cegieł. Ile taka hacienda musi mieć dochodu, żeby takie koszta pokryć.

Okolice Matamoros są śliczne, wszystkie drogi wysypane drobnym piaskiem są cieniste i wyglądają przy tej bujnej vegetacji jak olbrzymi park. O ile więc z tych powodów pobyt w Matamoros był miły, o tyle nieznośny z powodu mnóstwa przeróżnego robactwa, którego nie można się było pozbyć. Co do

mnie byłem zmuszony całą noc świecić światło w sypialni, aby nie być żywcem pożarty przez pluskwy. Prócz tego po ścianach łążyły skorpiony i karakony, a mrówki wybrały sobie moje łóżko jako główny trakt do nieznanych swoich wycieczek. To też każda noc była dla mnie utrapieniem. Tak się brzydziłem tem paskudztwem, że oka zmrużyć nie mogłem i dopiero nad rankiem zmożony bezsennością zapadałem w ciężki sen. Na szczęście niedługo korzystałem z mojego pięknego mieszkania, składającego się z jednego łóżka bez materaca i trzech kulawych krzesł, gdyż w kilka dni po moim przybyciu, rotmistrz oświadczył mi, żeby być gotowym o 2 popołudniu, bo tego samego dnia mamy wymaszerować do pewnej miejscowości nazwanej Chiautla i oddalonej o 11 leguas. Tam miały się zbuntować dwie kompanje piechoty, które po rozstrzelaniu swoich oficerów oświadczyły się za Rzeczpospolitą.

Trzeba więc było o trzeciej popołudniu przy pałacu słońcu wyjechać. Jednak nie zdążyliśmy tego dnia dojechać do Chiautli, bo około 7 wieczór zaskoczyła nas w drodze straszna burza i wskutek niej zgubiliśmy naszą drogę. Burza szalona, jak tutejsze zwykle bywają, tak że byliśmy zmuszeni zatrzymać się w małym rancho, nazwanym Buena Vista, ale nie pod dachem, bo tam dachu nie było, lecz pod gołym zachmurzonym niebem. Nazajutrz wczesnym rankiem wkroczyliśmy do Chiautli. Wszystko było spokojne, gdyż powstańcy już byli uszli, przekroczyli rzekę i schronili się na terytorjum Guerrero.

Kilka dni spędziliśmy tam w zupełnym spokoju, aż nas doszła wiadomość, że Porfirio-Diaz na czele całych swoich sił z dwoma armatami przeszedł rzekę i maszeruje ku nam. Wskutek tych wiadomości zebraliśmy się na naradę wojenną, na której przeważało zdanie, że z stoma ludźmi piechoty i szwadronem ułanów niemożna miasta bronić. Sam jeden byłem odmiennego zdania, utrzymując, że było by wstydem cofać się przed niesprawdzonymi wieściami i że w każdym razie mielibyśmy dosyć czasu wtedy się cofnąć, kiedy na własne oczy obliczymy siły nieprzyjaciela. Moje zdanie nie przeważało i tego samego wieczora opuściliśmy miasto, aby się o kilka mil dalej rozłożyć obozem.

Jak słusznie przewidywałem, żadnego nieprzyjaciela nie widziano, nikt nie wkroczył do miasta, tylko my wróciliśmy do niego z zasłużonym wstydem. Kilka dni potem inne wojska zajęły Chiautle, tak że mogliśmy wrócić do Matamoros. Tam szczęśliwym trafem zająłem inne mieszkanie, zupełnie dobre z majorem Turek. Był to Niemiec, major wojsk meksykańskich, więc nie należał do naszego korpusu.

Już od niejakiego czasu miarkowałem, że nasz rotmistrz Tacco, bardzo chwiejnego usposobienia, przytem bez odwagi brania na siebie odpowiedzialności, zanadto dawał się powodować majorowi Turek, mimo że był w kompletnej niezależności od niego. To mnie niepokoiło, gdyż znałem ruchliwość majora. Istotnie moje przewidywania się ziściły. Pewnego poranku podczas śniadania major Turek dał rozkaz

rotmistrzowi, aby tego samego dnia wyjechał do Malcajac na spotkanie oddziału majora Bernhardta. Pocziwy nasz rotmistrz zawsze gotów podlegać wszystkim, usłuchał rozkazu i pomimo mojej protestacji, którą wyraziłem, mówiąc majorowi, aby się do cudzych spraw nie mieszał, nie mając żadnych praw dawania nam rozkazów — wykonał polecenie. Niepodtrzymany przez rotmistrza, musiałem pomimo wszystko wyjechać.

Droga, którąśmy tak niechętnie rozpoczęli, była pod każdym względem szkaradną, jednak dojechawszy do miejscowości nazwanej Puente-de-Dios, czyli most Bogów, wszystkie nasze przykrości zostały nam wynagrodzone cudnym widokiem. Proszę sobie wyobrazić dwie olbrzymie góry okryte bujną roślinnością, wśród której różnobarwne ogromne kwiaty odbijają się na ciemno zielonem tle, a u stóp tych gór płynie bystrem korytem Rio-Atoyac. Ponad rzeką, łącząc te dwie piramidy zieleni, most wiszący, naturalny z skał, odbija się w przestrzeni na niebieskiem niebie.

Na ten cudny widok wszyscy, od oficera do szeregowca, popadliśmy w zachwyty. Dojechawszy do Malcajac, już nie zastaliśmy oddziału majora Bernhardta, który był wcześniej wyruszył, ale natomiast dwa sprzeczne rozkazy. Jeden żądał natychmiastowego powrotu do Matamoros, drugi udania się do Tehuacan. Wobec takiej sytuacji nasz rotmistrz, znany ze słabości charakteru, wysłał posłańca do Puebli, prosząc o rozporządzenie ostateczne. W miasteczku nie było mieszkań, więc byliśmy zmuszeni, oczekując od-

powiedzi, do mieszkania wszyscy razem w jednym pokoju. Ponieważ było powiedziane, że będziemy czekali rozkazu z Puebli, poszliśmy spokojnie spać. Nad rankiem rotmistrz coś niespokojny kazał zawołać dyżurnego podoficera, dając mu cicho rozkaz wymarszu. My nie wiedząc o niczem spaliśmy dalej. Naraz rotmistrz ubrawszy się zaczyna na nas krzyczeć, że jesteśmy próżniacy i że mając lada chwila wyjechać, jeszcze śpimy. Już dawno ten niespokojny charakter rotmistrza mnie irytował, wstałem więc, powiedziałem mu, że niema co krzyczeć, bo głusi nie jesteśmy, zresztą niema do tego żadnego prawa, a ostatecznie mógł dawać głośno swoje rozkazy, chociaż zawsze były dziwaczne. Na to on się rozgniewał i od słowa do słowa przyszło do tego, że obaj porwaliśmy się do szabel i gdyby nie interwencja naszych kolegów, nie byłoby się obeszło bez rozlewu krwi.

Wieczorem dotarliśmy do Tehuacan, lecz krótko tam zabawiliśmy, powołani do Puebli, gdzie był brak kawalerji, wobec nadchodzących uroczystości niepodległościowych, świetnie zawsze obchodzonych w dniu 15 i 16 września. Dojechawszy 14 września do Tepeaca, zastaliśmy tam podoficera, który nam przywiózł nasze ułanki i czapki, ponieważ miał wyjechać na nasze spotkanie nowy nasz dywizjoner generał Neigre.

Na drugi więc dzień ubrani w paradne mundury spotkaliśmy na kilometr przed miastem generała Neigre otoczonego sztabem, który wyjechał naprzeciwko nas z muzyką. Odbywszy przegląd naszego

szwadronu, odprowadził nas do koszar, gdzie palnął nam mównicę, winszując pięknego wyglądu szwadronu, kończąc, zaprosił do siebie na obiad. Szczególnie zastanowiło go, że wszyscy oficerowie mówili gładko po francusku, zwłaszcza ja i drugi porucznik. Nic w tem jednak nie było dziwnego, bo ja się wychowałem we Francji, a drugi porucznik Génioł był rodowitym Francuzem.

Jenerał Neigre jest sześćdziesięcioletnim mężczyzną, bardzo jeszcze dobrego wyglądu. Ma coś około 40 lat służby z niezliczoną ilością różnych kampanij. Dosłużył się swojego stopnia, zaczawszy od prostego żołnierza, co też poznać można po rubasznej mowie. Przy tem wesoły kompan, który lubi w wesołym towarzystwie wychylić niejednen kieliszek, co nas zmuszało dotrzymać mu placu. Po obiedzie pożegnawszy się z jenerałem i dziękując za łaskawe względy, poszliśmy oglądać iluminację, która rzeczywiście była bardzo piękną, a potem do kawiarni oficerskiej, w której spotkaliśmy znowu jenerała i musieli jeszcze się z nim przy kieliszku czas jakiś zabawić.

Kilka dni spędziliśmy spokojnie w Puebli. Następnie 21 września przyszedł rozkaz, aby szwadron wyruszył i przed jenerałem manewrował. Ponieważ już od ośmiu miesięcy nie odbywaliśmy żadnych ćwiczeń, z powodu ciągłych marszów, jednak manewry, wbrew memu oczekiwaniu wypadły doskonale. Jakie jednak dziwne pojęcia mają Francuzi o kawalerji wogóle i jej użytku, najlepszym dowodem jest, że kazał nam jenerał manewrować kłusem i galopem w ryn-

ku w Puebli, a jak wiadomo miasta tam nie są brukowane, ale wysadzone dużymi płytami kamiennymi, jak złe chodniki. Istotnie cud, że żaden koń nie upadł. Tego samego jeszcze dnia, gdy spokojnie zjadaliśmy obiad, przyszedł dyżurny podoficer donosząc, że jeszcze dziś wieczorem o godzinie 10 miał szwadron wyruszyć do Tlaxcali, gdzie się obawiano najazdu nieprzyjaciela. Marsz nocny był bardzo uciążliwy, bo chłód był wielki i połączony z bezsennością bardzo nam dokuczał. Naturalnie przyjechawszy nad ranem, zastaliśmy miasto zupełnie spokojne. Bajki, które wiecznie rozpuszczano, miały prawdopodobnie cel niepokojenia nas i marnowania naszych sił niepotrzebnymi nocnymi marszami.

Zakwaterowaliśmy się, jak było można w mieście. Tlaxcala, miasto znane jeszcze za czasów zdobycia Meksyku przez Hiszpanów, posiada prócz różnych kościołów, klasztor, założony jak utrzymują, przez Fernanda Corteza. Jest to ogromny budynek na wzgórzu, prawie nad miastem zbudowany, na wylocie rynku głównego, który jak każdy rynek w mieście hiszpańskim, ma chodniki kryte pod arkadami. Klasztor ten panuje nad całym miastem i jako taki jest obecnie zajęty przez naszą piechotę i artylerję.

Ledwieśmy się zakwaterowali, doszły nas najsmutniejsze wieści i to jedna po drugiej. Najsamprzód śmierć porucznika Zawadzkiego, zabitego pod Tulancingo, następnie śmierć porucznika Suchodolskiego, zabitego pod Nochistlan, potem wzięcie do niewoli Łempickiego przez zdradę pod Ojo de Agua.

Najbardziej mnie zmartwiła śmierć Suchodolskiego, z którym mnie łączyły węzły prawdziwej przyjaźni. Był to niepospolicie utalentowany młodzieniec, malował bardzo ładnie i nie mogę odżałować, że z wszystkich jego szkiców i rysunków, które mi pokazywał, nic się nie dało uratować. Lecz wiadomość, która mną wstrząsnęła, była śmierć mojego byłego rotmistrza J. W. Bythella, pod którym czternaście miesięcy służyłem i któremu zawdzięczam mój awans i całą moją karierę, jeżeli kiedykolwiek jaką tu zrobię? Biedak dostał tylko dwie kontuzje i umarł wskutek nich z tetanosu. Bardzo był powszechnie lubiany i ceniony dla prawości charakteru.

Zaraz po naszym przyjeździe zostaliśmy zawezwani, aby się połączyć pod San-Juan de los Lianos z contra-guerillą osławionego pułkownika francuskiego Dupin.

Maly ten człowieczek z długą białą brodą, był srogości niesłychanej. Oddział jego był zbiorem awanturników całego świata i trzeba było jego żelaznej ręki, aby w karności utrzymać tę zgraję. Sam chodził jak tutejsi burmistrze nazwani Alcade, nosząc ogromną pałkę okutą w srebro, na wzór naszych szwajcarów, jako godło swojej godności, mieniąc się burmistrzem całego kraju. To też burmistrzował po swojemu. Mawiano, że za jego śladem łatwo iść, bo tak gęsto jak drugi telegraficzne, za jego przejściem liczono szubienic. Podczas kilkudniowego naszego pobytu przy jego oddziale, pełniąc służbę wywiadowczą, bo brak mu było kawalerji, przypominam sobie

jego sposób postępowania. Dojeżdżaliśmy właśnie pod miasteczko Huamantla, kiedy mnie kazał zawołać i rozkazał, abym z moim plutonem ruszył galopem naprzód, wpadł do miasta i natychmiast uwięził burmistrza i dwóch najznacniejszych rajców. Tym miałem oświadczyć, że pułkownik Dupin w przeciągu dwóch godzin stanie w mieście i muszą być gotowe do jego rozporządzenia następujące ilości żywności, tytoniu, chleba i mięsa. Jeżeli zaś te wszystkie artykuły nie będą dostawione, będą rajcowie i burmistrz w tej chwili powieszeni.

Podczas naszego pobytu przy tym oddziale nigdzie nie napotkaliśmy na nieprzyjaciela, wkrótce też powróciliśmy do Tlaxcali.

Tymczasem podczas naszej niebytności powstańcy próbowali naszych atakować, przypuszczając, że łatwo im będzie zdobyć miasto, lecz srodze się omylili, gdyż zostali odparci z wielkimi stratami. Czterdzieści pięć trupów zostawili na placu. Rannych swoich jednak zabrali, wiedzieli bowiem, że każdego ujętego z bronią w rękę rozstrzelało się natychmiast.

Wieści jednak, które nas dochodzą, przedstawiają położenie w kraju w coraz gorszym świetle. Tracimy codzień coraz większy obszar kraju, który odpadając od nas łączy się z republikanami. W rozmowie zenną jeden z generałów francuskich tak się do mnie odezwał: *Mon cher, nous n'avons plus rien à faire ici, que voulez-vous entreprendre contre un pays entier, qui se soulève, il faut songer a une retraite honorable.* Takie są wrażenia ogółu, tak w armji, jak u mieszkań-

ców, którzy chcąc żyć spokojnie, muszą się opłacać jednej i drugiej stronie. Na dobitek, pomimo zagwarantowanych naszych układów, że korpus austriacki będzie się sam rządził i żadnym obcym władzom nie będzie podlegał, dano nam na miejsce generała Thuna, który odjechał, generała meksykańskiego. Wskutek tego wszyscy jednogłośnie zaprotestowaliśmy i posłano protest opatrzony naszymi podpisami, w których oznajmialiśmy, że pod żadnym warunkiem nie zgodzimy się na dowództwo, jakiegoby nie było, generała meksykańskiego. Równocześnie wysłaliśmy rotmistrza Tacco do Puebli, z tem poleceniem, aby w razie gdyby naszego protestu nie uwzględniono, podał natychmiast w imieniu nas wszystkich naszą dymisję. Protest napisany przez pułkownika Bertranda i podpisany przez nas wszystkich, wysłano natychmiast do Meksyku. W kilka dni później przyszło odwołanie narzuconego nam dowódcy.

Jak zwykle w takich niepewnych czasach, rozpuszczano różne wiadomości i tak donoszono nam, że Rodriguez na czele 2500 ludzi i z trzema armatami ma zamiar nas napaść. W każdym razie przyszło do tego, że choć na nas gromadnie nie napadano, jednakowoż pojedynczo już nie można było wychodzić na spacer za miasto, nie narażając się. Miałem u siebie w plutonie kadeta Karola hr. Dzieduszyckiego, któremu pozwoliłem jeździć na spacer na moich luźnych koniach. Przestrzegałem go jednak, aby się zbytecznie poza obręb miasta nie oddalał. Rano 28 października słyszemy strzały tuż koło mia-

sta. W tej chwili każę wyruszyć szwadronowi, naprzód mój pluton i pluton porucznika Géniol, żeby się przekonać co się dzieje. W chwili gdy wyruszamy, przynoszą nam Indjanie biednego kadeta Dzeduszyckiego rannego, który nam opowiada, że wyjeżdżając na spacer konno z drugim kadetem Alfoldem zostali przy samem mieście napadnięci przez bandę powstańców. Niemając przy sobie broni, Dzeduszycki tem tylko się wyratował, że spadając z konia, udał zabitego. Na tę wiadomość ruszyliśmy cwałem. Tuż za miastem znaleźliśmy leżący nagi trup Alfelda z przestrzeloną głową. Niezatrzymując się ani chwili jechaliśmy dalej wciąż wyciągniętym galopem za bandą rozbójniczą, kierując się śladami licznych kopyt końskich odbitych na piaszczystej drodze. Po pół godzinnym pościgu wyjeżdżając z miejscowości nazwanej Santa-Anna, ujrzelśmy ich galopujących na przełaj przez pola, już widocznie zaniepokojonych pościgiem. Wtedy zaczął się szalony bieg przez rowy i płoty co koń wyskoczy. Ponieważ nasze konie były znacznie lepsze, przestrzeń między nami malała coraz bardziej. Géniol i ja, którzy mieliśmy konie roślej-sze i szybsze, byliśmy przynajmniej o sto metrów przed naszymi ludźmi, lecz w chwili, kiedy mieliśmy już najbliższych dosięgnąć, zapadli się przed nami jak w ziemię. Był to olbrzymi parów, jakie w tych okolicach często się trafiają, przecinające płaszczyzny, i które się dopiero wtedy spostrzega, gdy się na nie wpadnie. Żeby się do parowu spuścić, musieliśmy na chwilę biegu zwolnić, i dopiero mieliśmy możność

wpaść im na karki i tłuc bez litości. W parowie mieli schowaną piechotę i dlatego się tam kierowali, sądząc, że nas zwabiają. Zwabili rzeczywiście, lecz się przeliczyli, gdyż niewstrzymanym impetem wpadliśmy na nich, a ponieważ brzegi parowu były bardzo strome, nie mieli sposobności ujęcia i po wystrzeleniu jednego naboju rażeni naszymi ciosami padali jedni na drugich kalecząc się wzajemnie, niemając siły stawiania jakiegokolwiek oporu. Po chwili takiej młóćby, bo tylko białą broń używaliśmy, nie strzelając wcale, porucznik Génioł poradził mi, że nieznając okolicy możemy wpaść niechcący na większy oddział, lub wskutek strzałów może im przyjść odsiecz, więc rozsądniej będzie, gdy się teraz wycofamy powoli. Może w ten sposób czując się silniejszymi i widząc naszą szczupłą garstkę, wyjdą za nami na płaszczyznę. Wskutek tego postanowienia trzeba było zaraz wysłać posłańca do drugiego półszwadronu, żeby wyjeżdżając natychmiast z drugiej strony Tlaxcali wpadli na ich tyły. Tak jak było umówione, tak się i stało. Zatrąbiono na apel i stępa wycofaliśmy się na równinę. Jak przewidywaliśmy poszli zaraz za nami, prażąc nas strzałami, lecz bezskutecznie. W chwili, w której już zamierzaliśmy się odwrócić, przypuszczając, że już drugie pół szwadronu powinno być na ich tyłach, zauważyliśmy, że się czempředzej wynoszą. Tamte pół szwadronu pokazało się zawcześnie i powstańcy zmiarkowali się na czas opuszczając pośpiesznie okolice. Jako trofea przyprowadziliśmy z sobą konie i różnorodną broń, jak karabiny, lance i pałasze.

Następne dni przeszły spokojnie. Skorzystaliśmy z tego, aby naszą kawalerję rozmieszczoną po mieście, którą w nocy łatwo było napaść, przenieść do klasztoru San Francisco, sam zaś klasztor jeszcze umocnić. Nazajutrz po potyczce, pochowaliśmy naszych poległych, między nimi był i mój ordynans, Polak Dąbrowski, którego bardzo lubiałem. Należał do powstania 1863 roku, potem internowany w Bernie wolał się zaciągnąć do Meksyku, jak siedzieć Bóg wie jak długo w więzieniu, a następnie być wydanym Rosjanom. Snać musiał należeć do lepszej rodziny, bo widocznie był staranniej wychowany i z tych właśnie względów, żeby mu oszczędzić różnych przykrości, jak mieszkania wspólnego w koszarach, wziąłem go jako ordynansa do moich koni. Biedaczek poznając mojego konia zrabowanego pod Dzieduszyckim, tak się za nim zapędził, że znalazł się sam między zbójcami, którzy go zatłukli.

Dzień Wszystkich Świętych przeszedł spokojnie, lecz już rano następnego dnia obudziły mnie echa gęstych strzałów. W tej chwili też wszedł mój służący donosząc mi, że powstańcy zajęli miasto i przygotowują się do ataku na klasztor.

Po szybkim ubraniu się, wyszedłem na wały, aby się przekonać, co się tam święci. Rzeczywiście miasto było zajęte przez bandę, liczącą, o ile można było sądzić, 1500 ludzi. Nieśmieli jednak pokazywać się na odległość strzału, gdyż celni nasi strzelcy czekali tylko na widok byle jakiego cienia, aby natychmiast tam kulkę umieścić. Trwała taka strzelanina

do wpół do dwunastej. Mając jednak na oku oszczędzanie naszej amunicji, rotmistrz Tacco kazał zaprzestać ognia, póki bliżej się nie podsuną.

Ponieważ róg głównego rynku był na dobry strzał na przeciwko naszego klasztoru, nikt bezkarnie koło tego rogu przejść nie mógł. Widząc, że my przestajemy strzelać, skorzystali z tej pauzy, aby ten róg zapomocą belek, materaców i różnych innych przedmiotów umocnić, chcąc następnie bezkarnie z poza tej barykady nas ostrzeliwać. Myśmy spokojnie na tę robotę patrzyli, ale porucznik Géniol, który był wziął na siebie prowadzenie artylerji, kazał armatę nabić pękającym granatem, sam wycelował i czekał póki ich barykada nie będzie skończoną i póki się za nią nie zbierze kupa ludzi. Wtedy wypaliwszy, tak szczęśliwie trafił w sam spód belek, że granat pękając rozwalił całą barykadę, grzebiąc pod jej gruzami napastników. Na ten widok okrzyk radości ozwał się z naszych wałów, my zaś, mając już okulbaczone konie, wsiedliśmy na nie jak najspieszniej i puściliśmy się za nimi w po-goń. W tej samej chwili z drugiej strony Tlaxcali wkra-czała kolumna francuska, wysłana nam na odsiecz. Ci mieli jeszcze czas wyciąć część uciekających powstań-ców, którzy im w ręce wpadli. Gdyśmy tak galopowali naprzód, chcąc dalej ścigać nieprzyjaciela, przypadł adjutant francuskiego dowódcy z oznajmieniem, że już nie warto dalej ścigać, bo wszyscy poszli w rozsypkę.

Ale jakie było moje zdziwienie, poznając w adju-tancie dawnego kolegę szkolnego z Metz, de Morlain-

court'a. Uścisnęliśmy się, on pojechał w jedną stronę, ja w drugą — i tyle było naszego widzenia...

Następne dni upłynęły spokojnie. Wprawdzie nie można było bezkarnie odbywać dłuższych spacerów konnych poza miastem, lecz względnie wszelkie napaści ustały.

Tymczasem oczekiwaliśmy codziennie wiadomości o abdykacji Cesarza, takie było widoczne zniechęcenie ogółu do jego rządów. Każdy dzień pocztowy gorączkowo oczekiwany, zawsze nas zawodził. Niemniej jednak przynosił nam smutne wiadomości, między nimi pobicie oddziału austriackiego, wysłanego na odsiecz Oajaci.

Te przykre wiadomości, których nie można było przed żołnierzami ukryć, demoralizowały ich w najwyższym stopniu. Każdy się zastanawiał nad swoją przyszłością i nie bez racji zapytywał siebie, co się z nim stanie, gdy przypadkowo zostanie kaleką po jednej z tych częstych potyczek, gdy cesarz tymczasem powróci do Europy? Kto się nim zajmie i zabezpieczy przyszłość kaleki? Wszystkie te pytania, które również oficerowie sobie zadawali, tak zniechęciły wszystkich, że już oczekiwaliśmy rozwiązania naszego korpusu, jak zbawienia.

Pułkownik Bertrand powołany telegraficznie do Meksyku, miał się zająć, jak mówiono, rozwiązaniem korpusu i sposobem przewiezienia go do Europy. Żeby jednak uspokoić umysły mocno wzburzone, ogłoszony został 12 listopada wielki awans, którym został m też i ja mianowany nadporucznikiem. Nazajutrz ocze-

kiwaliśmy przybycia oddziału pułkownika Polaka, opuszczającego Tulancingo. Żeby mieć wcześniejsze wiadomości o jego przybyciu, były wysyłane forpoczty, które nas miały zawczasu przestrzec. Tymczasem nasze forpoczty wróciły pośpiesznie, donosząc, że oddział pułkownika, znajdujący się mniej więcej o 2 mile stąd, został prawdopodobnie napadnięty, gdyż wyraźnie słychać strzały armatnie. Siadamy zatem natychmiast na konie i ruszamy wyciągniętym klusem. Zaraz za wioską San-Pablo spotykamy oddział maszerujący spokojnie przed siebie. Spotkał był rzeczywiście nieprzyjaciela, chcącego mu przeszkodzić przejścia mostu nad rzeczką, lecz którego kilka strzałów armatnich zupełnie spłoszyło.

W dwa dni po przybyciu oddziału, przyszedł rozkaz połączenia się z nim i maszerowania ku Puebli. Niedługo jednak bawiliśmy tam, bo zaraz nasz szwadron dostał polecenie złączenia się z kolumną francuską pułkownika Lepage, któremu brakło kawalerji. W jednym dniu przebyliśmy całą przestrzeń 17 tamtejszych *leguas* aż do Quecholi, gdzie stanęliśmy o 5 popołudniu, bardzo serdecznie przyjęci przez Francuzów i pułkownika, który nas na obiad zaprosił.

Dziwna jest odrębność w wojsku francuskim między stopniami oficerskimi. Kiedy u nas porucznik poza służbą na równi obcuje z pułkownikiem, to ten stosunek koleżeński wcale między Francuzami nie istnieje. U nich niżsi oficerowie z wyższymi tylko w służbie obcują, poza nią mają swoje kółka odrębne. Prawdopodobnie wychowanie gra w tem główną rolę,

a najlepszym tego dowodem, że my niżsi oficerowie obcowaliśmy tylko z wyższymi francuskimi, nie znając wcale równych nam stopniem oficerów francuskich. Mnie szczególnie spodobał się bardzo miły człowiek, szef bataljonu 3 pułku żuawów. Żałuję, że nie mogę sobie jego nazwiska przypomnieć.

Z tym więc oddziałem pomaszzerowaliśmy dalej do Palmar, następnie do Tecomachalco, a potem do Tlacotepec, gdzie zabawiliśmy 5 dni, potem powołani zpowrotem do Puebli, całą tę drogę zpowrotem przebyliśmy w trzech dniach.

Teraz zostałem znowu przeniesiony do 2 szwadronu, w którym dawniej służyłem przez 14 miesięcy pod poczciwym rotmistrzem Bythell'em. Z tym szwadronem, ale już pod dowództwem rotmistrza hr. Guelderna, wykonaliśmy kilka wycieczek bez znaczenia ciągle niepokojeni przez powstańców. Nareszcie przyszedł rozkaz, aby cały nasz pułk skoncentrował się w Choluli, leżącej tuż obok Puebli. Jest to wioska, niegdyś zapewne nawet znaczące miasto, ale ciekawa z tego powodu, że utrzymał się tam do dziś dnia bardzo dobrze zachowany rodzaj piramidy, służącej za czasów Montezumy do ofiar ludzkich. Na samym szczycie tej piramidy znajduje się wielki kamień, na którym, według podania, miały się odbywać te ohydne obrządki.

Pewnego poranku dostaliśmy rozkaz wyjechania do Acunzingo na spotkanie cesarza, który miał wracać z Orizaby do Puebli i eskortować go dalej. Spotkaliśmy go też w drodze i szczęśliwie doprowadzili do Puebli,

skąd miał jechać zpowrotem do stolicy. Jak mówiono, cesarz zniechęcony miał zamiar wracać do Europy, lecz nie było to na rękę partji konserwatywnej, która go była do kraju sprowadziła i bała się odpowiedzialności w razie powrotu rządów republikańskich. Wskutek tego naczelnicy tej partji z biskupem Meksyku na czele dopędzili cesarza w Orizabie i potrafili go nakłonić do powrotu.

Jak było do przewidzenia, 15 grudnia wyszedł dekret rozwiązujący korpus ochotników austriackich. W dekreście tym była wzmianka, że tym oficerom, którzyby chcieli wstąpić do armji meksykańskiej, będzie dany wyższy stopień. Zdania były nadzwyczaj różne i zapanowała ogólna konfuzja. Byli tacy, co chcieli zostać, lecz drudzy utrzymywali, że wszystko pójdzie na marne. Ja byłem zdania tych ostatnich, ale jak pisałem moim rodzicom, kiedy widziałem początek, to chcę i konieć zobaczyć, lecz jak, w tem leżała cała trudność.

Major ks. Khevenhüller, wielki mój przyjaciel, otrzymał był właśnie od cesarza pozwolenie uformowania pułku huzarów. Ofiarował mi w tym pułku stopień rotmistrza, lecz warunki były mi niedogodne i odmówiłem. Warunki te były następujące: pierwsze, trzeba się było wyrzec powrotu do Europy na koszt rządu, drugie: służyć cztery lata z rzędu. Ten ostatni warunek był iluzoryczny, gdyż w moim przekonaniu cesarstwo zaraz po wyjeździe Francuzów było skazane na zagładę. To było tak widoczne, że dziwiło mnie tylko, że starsi i rozumniejsi tego nie widzą i namawiają cesarza do pozostania w kraju. W tem wahaniu się cią-

głem co robić poszedłem do pułkownika Bertranda z zapytaniem, co on dla siebie postanowił? Powiedział mi, że cesarz ofiarował mu miejsce w ministerstwie wojny, że niewie jeszcze, czy przyjmie, ale gdyby przyjął, mógłby mnie przyjąć jako swojego adjutanta. Prawdę powiedziawszy wszystkie te propozycje mało mi się uśmiechały, bo miałem ochotę wracać do Europy, lecz nie wiedząc co tam robić będę i co mnie tam czeka, postanowiłem na razie pozostać, wytargowawszy najlepsze warunki.

Tymczasem 3 stycznia już część naszego korpusu wymaszerowała ku Vera-Cruz, skąd około 15 miała być przewieziona do Europy. Nasz pułk ułanów miał dopiero wyjechać drugim transportem.

Cesarz pozostał jakiś czas w Puebli, skąd podążył do stolicy biorąc cały nasz pułk jako eskortę. Sam zaś pułk miał 11 stycznia powracać, kierując się ku Orizabie, potem do Vera-Cruz, aby odpłynąć z powrotem. W wilję jeszcze wyjazdu targowałem się i w rozmowie z pułkownikiem Bertrand ważyliśmy wszystkie szanse. Do rozmowy wmieszał się Khevenhüller i tak gorąco umiał przemówić do naszego przekonania, iż wstyd by było opuścić cesarza etc. etc., że na razie namówił nas. Bertrand został jako pułkownik w ministerstwie wojny, ja jako jego adjutant i rotmistrz nadetatowy w pułku huzarów. Nadto w kilka dni później zostałem mianowany adjutantem-majorem w pułku huzarów, ranga nie istniejąca w armji austriackiej ale w francuskiej, — i kawalerem orderu Guadelupy.

Dojchawszy 2 lutego pod sam Meksyk nie mogli-

śmy do miasta wejść, bo brakowało miejsca na umieszczenie nas i musieliśmy czekać do 9 lutego w pobliskiej miejscinie San-Angel na wyjazd Francuzów. Z tej miejsciny szła jedyna wówczas kolej żelazna przez Tacubaje do Meksyku. Nie mając też żadnych zajęć jeździliśmy ciągle albo do Meksyku albo do Tacubaju, albo do Chapultepec, pałacu cesarskiego w najbliższej okolicy miasta.

Mając wtedy więcej czasu nie wytrzymałem i żyłka myśliwska wzięta we mnie górę. Zgodziwszy rybaka, żeby popłynął ze mną łódką, puściłem się na jezioro San-Cristobal chcąc zapolować na niezmierne ilości różnorodnych gatunków kaczek. Zadanie było trudne, gdyż na gładkiej powierzchni jeziora ptaki niedotrzymywały. Trzeba więc było zbliżyć się do brzegów, żeby je w zaroślach i sitowiu łatwiej podplynać.

Lecz niedługo trwała zabawa, ponieważ w krótkim czasie przekonałem się, że sam byłem zwierzyną. Jak tylko zbliżaliśmy się do brzegów, zaraz padały strzały, a świst kul dowodził, że bynajmniej nie do kaczek strzelano. Sam rybak poradził mi spieszenie porzucić jezioro, zanim się liczniejsi napastnicy zbiorą. To był epilog moich wypraw myśliwskich w tym kraju.

Tacubaja jest miastem albo właściwie przedmieściem Meksyku, ale przedmieściem samych zamożnych ludzi, którzy tu wieczorem z stolicy przyjeżdżają, aby odetchnąć świeżym powietrzem. Cała Tacubaja jest jednym ogrodem egzotycznym, w którym tkwią najprzeróżniejsze wille i pałace kąpiące się formalnie w morzu zieleni. Nie widać tam ani jednej chatki, ani

jednego sklepienia. Ulice nie brukowane mimoto idealnie utrzymane. Wszędzie znać czystość i zamożność, w czym właśnie Tacubaja różni się od innych miast meksykańskich. Obok Tacubaji na płaszczyźnie kilku mil kwadratowych, wznosi się na skale ogromny pałac cesarski Chapultepec. Oryginalnie wygląda ten pałac, bo z daleka skały nie widać, gdyż ją z wszech stron otaczają olbrzymie cedry, jeszcze sadzone za czasów Montezumy. Co jeszcze powiększa wspaniały ich widok, to rodzaj latorośli w kształcie długich srebrnych włosów zwieszających się z szczytów drzew do samej ziemi, okrywający siwizną te prastare okazałe drzewa. Sam pałac w stylu włoskim zbudowany, otoczony terasami kutymi w skale, nawiezionymi żyzną ziemią i pokrytymi cudownymi kwiatami, sprawia widok czarujący. Gdzieś tam piękne posągi bożków greckich i rzymskich z lanego brązu, ślicznie wyglądają w tęczy w blaskach pyłu wodnego, rozsiewanego lekkim podmuchem wiatru z licznych wodotrysków utrzymujących świeżość kwiatów i pięknych pomarańczowych gajów. Istnie czarodziejska siedziba, z ganków której rozciąga się wspaniały obraz. Z jednej strony w dole Tacubaja wyglądająca jak ogromny park angielski, w dali stolica rozległa, otoczona jeziorami, a tło obrazu, ogromne i potworne kształty wiecznymi śniegami okrytych dwóch wulkanów Popocatepetl i Iscachinuatl, słowem najbujniejsza fantazja malarza prawie nie mogłaby się zdołać na taki obraz i na taki koloryt.

ROZDZIAŁ VIII.

*Ekspedycja przeciw Porfiriowi-Diaz. Szarża huzarów
Khevenhüllera. Zgubna zwłoka w marszu.*

W ogniu tylnej straży.

Po opuszczeniu miasta i kraju przez Francuzów, wprowadziliśmy się i objęli ich koszary. Dla naszego pułku przeznaczone zostały tyły pałacu cesarskiego, stanowiące rodzaj koszar. Khevenhüller, Bertrand i ja wynajęliśmy sobie wspólne mieszkanie na ulicy San-Jose Real, gdzie się rozkwaterowaliśmy umeblowawszy je, a z pułku zabraliśmy kucharza Polaka. W krótkim potem czasie dostaliśmy polecenie przygotowania się do wymarszu będąc przeznaczeni towarzyszyć cesarzowi w jego wyprawie ku Queretaro. W dniu jednak wymarszu, cesarz schodząc do powozu zawołał nas i oświadczył, że zmienia postanowienie i życzy sobie, abyśmy w stolicy pozostali i jemu ją wiernie utrzymali. Zresztą chce przekonać Meksykańczyków, że im dowierza i oddaje się w ich ręce. Rzeczywiście prócz swojego doktora Buscha i kamerdynera Gröllera nikogo z cudzoziemców przy sobie nie zatrzymał. Było

wprawdzie w wojsku kilku oficerów zagranicznych, ale oni służyli w wojsku krajowym na prawach ogółu, a nie jak my należący do legji zagranicznej.

Jak tylko cesarz wyjechał z znacznymi wojskami krajowymi, bo w około 6000 ludzi — zaraz zostaliśmy otoczeni przez partyzantów i okolice stały się niebezpieczne. Strzelano do nas wciąż, prawie pod samem miastem. Robiliśmy wycieczki chcąc ująć tego niewidzialnego nieprzyjaciela, który wciąż przed nami uchodził, a powracał zaraz przy pierwszej sposobności. W kilka tygodni potem, na wiadomość, że generał Marquez wraca z Queretaro z tysiącem kawalerji, wyruszyliśmy na jego spotkanie. Po przybyciu zajął on się zaraz organizowaniem ekspedycji, która miała wyruszyć przeciwko generałowi liberałów Porfirio-Diaz oblegającemu Pueblę.

Podczas naszego pobytu w stolicy miałem sposobność dostania się do wyższego kółka towarzyskiego. Między innymi był dom pewnej wdowy nazwiskiem Beltramy Puga, której jedna córka wyszła za mąż za Niemca, druga zaś młodsza bardzo ładna i uprzejma była jeszcze nie zamężna. Pani ta dużo przyjmowała i byliśmy z kolegami stałymi gośćmi w jej domu. Nic też dziwnego, że przyjaźniłem się z młodą dziewczyną i przy wolności jaka tam panuje, widywaliśmy się codzień, to na spacerze, to w ich domu. Ta zażyłość nasza, przechodząca nawet w czułość, tak była znaną, że nas powszechnie swatano. Byłbym nawet do tego kroku dał się namówić, gdyby mnie nie powstrzymała zbyt- nia zalotność pięknej Emilji. Często nawet z tego po-

wodu były między nami zwady, kończące się jak zwykle między zakochanymi zgodą.

W dniu 30 marca 1867 r. przysłała nareszcie do skutku ekspedycja przeciw jen. Porfirio-Diaz. Rano tego dnia wymaszerowaliśmy pod dowództwem generała Marquez, mianowanego namiestnikiem, w sile 3600 ludzi i 12 armat. Pierwsze dni marszu nie przedstawiały nic zajmującego. Tyle tylko, że spaliśmy pod gołym niebem i byliśmy fatalnie żywieni. Ponieważ mieliśmy z sobą artylerję polną cięższą, nie mogliśmy się kierować zwykłą drogą przez Rio-Frio, lecz okrążając wielkie góry mieliśmy już tylko między San-Cristobal i Otumba niewielki łańcuch pagórków i mogliśmy tamtędy dostać się na równiny koło Apan. Szliśmy więc tą drogą bez przeszkód i nie będąc zaczepieni, aż do haciendy Notaria, o 8 kil. odległej od Huamantli. Na drugi dzień, będąc w straży przedniej, dotarliśmy do tego miasta przynajmniej o jakie dwie godziny przed głównym korpusem. Przy południowym odpoczynku i śniadaniu, otrzymaliśmy nagły rozkaz cofnięcia się ku haciendzie, gdyż generał Marquez donosił nam, że doszła go na pewno wiadomość o wzięciu Puebli przez Porfiria-Diaz i jego maszerowaniu z wszystkimi siłami przeciwko nam.

Na tę wiadomość ruszyliśmy natychmiast, aby się połączyć z głównym oddziałem.

Ujechawszy ledwie 4 klm. usłyszeliśmy strzały armatnie, a ponieważ na tych równinach wzrok sięga daleko, ujrzeliśmy nasz korpus w ostrem spotkaniu z nieprzyjacielem. Na ten widok przyspieszyliśmy kro-

ku i zaledwieśmy się z naszymi połączyli, dostaliśmy rozkaz bronienia lewego boku naszej kolumny, bo generał Marquez chciał forsownemi marszami dojść do Meksyku obawiając się, że go Porfirio-Diaz uprzedzi. Podczas całego tego marszu byliśmy wciąż ostrzeliwani, nie mając sposobności znalezienia dogodnej chwili, aby na nieprzyjaciela natrzeć. Tak dojechaliśmy o 4 popołudniu do haciendy Atachoque, położonej na ogromnej płaszczyźnie, nad którą ku północy panował pagórek może 200 stóp wysoki, lecz łagodnie wznoszący się. Pagórek ów był zajęty przez liberałów, których tyraljerzy nas stamtąd prażyli i wyglądali, jakby chcieli przyjąć bitwę, którejsmy tak gorąco pragnęli. Na ten widok generał, choć już było późno, zdecydował się przyjąć bitwę, którą nam ofiarowali, w nadziei, że rozpędzisz ich, okupi sobie wolną drogę do Meksyku. Pozostawivszy zatem naszą artylerję w haciendzie, kazał naprzód postąpić kawalerji podtrzymując ją kilku bataljonami strzelców. Żeby oczyścić teren ruszył 18 bataljon złożony prawie z samych Austriaków, który też odrazu zajął pagórek i spędził z niego liberałów. Tu się dopiero pokazało z kim mieliśmy do czynienia. W pierwszym szeregu stało w zwartej masie 3000 konnicy, za którą dopiero rozwijała się piechota. Marquez widząc te siły, chciał się cofnąć i nie wdawać się w walkę, lecz na nalegania pułkownika Kodolicza proszącego i biorącego całą odpowiedzialność na siebie, pozwolił, aby nasz pułk huzarów atakował.

Byliśmy wtedy jak opisałem, ustawieni na lewym skrzydle, gdy przyszedł rozkaz ataku. Po pra-

wej zaś stronie pagórka stali strzelcy konni i żandarmerja. — Przed nami 2.000 konnicy, i piechota w tyraljerce. Ruszyliśmy z kopyta kłusem, rozwijając się do frontu jak na placu ćwiczeń. Ciągłe strzelanie tyraljerów kaleczyło nam dużo ludzi i koni, aby więc dystans zmniejszyć przeszliśmy w galop. Cwałowaliśmy, na czele o jakie sto kroków naprzód pułkownik Khevenhüller, ja obok niego jako adjutant-major, za nami trębacz, potem oficerowie nareszcie rozwinięty front pułku. Pułkownik podniósł szablę, trąbka się odezwała i z galopa wpadliśmy w szalony rozpęd marsz-marszu. Na sto kroków odległości przywitani nas salwą, chcąc wstrzymać rozpęd, lecz za późno. Jak klin żelazny wpadliśmy w tym szalonym pędzie między nich siekąc i kłując na wszystkie strony. W okamgnieniu otoczyła nas straszna kurzawa, w której dzięki tylko naszym czerwonym uniformom, mogliśmy swoich rozpoznawać. Na domiar swego nieszczęścia, liberały nie przypuszczając nawet, żebyśmy mogli ich atakować, tak się rozwinęli, że mieli poza plecami głęboki parów. Gdyśmy na nich tak gwałtownie natarli, już nie mieli czasu szukać przejścia, lecz parci przez naszych wpadali jedni na drugich razem z końmi zabijając się i kalecząc straszliwie. Myśmy naturalnie w tej kurzawie nic nie widzieli. Nagle wspiął mi się koń, którego na bok rzuciłem i zobaczyłem przed sobą otchłań tego głębokiego parowu już po części napełnionego walącemi się końmi i jeźdźcami. Wtedy ogarnęła ich straszna panika, nikt już nie myślał o czem innem jak tylko o salwowaniu się. Nasi, rozjuszeni ciągłym niepokojem tłukli wszystkich bez

pardonu. W tym zamieszaniu spotkałem się z pułkownikiem, który kazał trąbić na zebranie. Nie było to tak łatwym, jak się wydawało, gdyż powytwarzały się jak na ujeżdżalni pojedyncze potyczki i musieliśmy czekać dobre pół godziny, nim się nasz pułk znowu zebrał. — Powrót był owacyjny, przyjęci zostaliśmy głośnym hurra, tak przez komenderującego, jak przez wszystkich żołnierzy. Nasi huzarzy zmęczeni i objuczeni różnemi przedmiotami zdobyczy, dumnie dziękowali za oznaki podziwu, który im się słusznie należał. W tym ataku zdarzył się oryginalny epizod, na szczęście bez złych skutków. W chwili ataku gdy pułkownik Khevenhüller podniósł w górę szablę, dając tem znak do szarży, kula trafiła w rękoność pałasa, który mu wypadł z ręki. Z najzimniejszą krwią wy dobył szpicrutę zatkniętą w cholewie buta i dalej prowadził atak.

Po powrocie do haciendy, oglądając wzięte konie stojące w szeregu, aby zobaczyć, którego warto zachować, jeden z nich czując prawdopodobnie we mnie nieprzyjaciela ukąsił mnie boleśnie w piersi. Przytaczam to zajście tylko dlatego, żeby stwierdzić, że zwierz przyswaja sobie w pewnej mierze, uczucia swojego chlebodawcy i okazuje je, jak tu niedwuznacznie.

Po spokojnie przepędzonej nocy, wskutek dobrej wczorajszej lekcji, ruszyliśmy w drogę wracając do Meksyku i około południa doszliśmy do haciendy San-Nicolas bez przeszkód. Tu usłyszeliśmy żywą kano-nadę i niebawem przybiegł adjutant z rozkazem udania się natychmiast do naszej tylnej straży, aby ją zabezpieczyć od możliwego ataku. W niespełną godzinę ogień

ustał i dowiedzieliśmy się, że nasza przednia straż rozproszyła małą kolumnę nieprzyjacielską, liczącą mniej więcej 2000 ludzi, która nam drogę zagradzała. Zabrałiśmy im 200 jeńców, którzy niezwłocznie zostali wcieleni do różnych oddziałów naszych wojsk krajowych. To wcielenie do własnych szeregów dopiero co zwyciężonego nieprzyjaciela, jest najlepszą ilustracją tamtejszych stosunków i stwierdza, że to nie nienawiść przeciwko rządowi łączy ludzi, lecz koterje partyjne, chciwe władzy i zaciągające do swych oddziałów wszystkich ludzi, którzy im pod rękę podpadną, zupełnie nieświadomych komu służą. Tu bowiem nieistnieje zwykły pobór rekrutów, tylko kiedy jedna z partji, czy to liberały czy inna lub nawet rząd istniejący, potrzebują rekruta, wtedy otacza się wojskiem jaki lokal publiczny, czy to kościół, teatr, lub cyrk i zabiera się gwałtem wszystkich mężczyzn w wieku od 20—40 lat, kto może opłaca swoją wolność przekupstwem, które stąd naturalnie wynika, inny zaś, jak w przytoczonym dopiero co wypadku, gdy dostanie się do niewoli służy równie wiernie nieprzyjacielowi, nie mając żadnych przekonań politycznych, uważając słusznie obie strony za bandytów krępujących jego wolność.

W dniu następnym dobiliśmy do San-Lorenzo około pierwszej w południe, lecz pomimo nalegań całego sztabu generał Marquez nie chciał tego dnia dalej maszerować. Ten upór spowodował naszą zgubę, gdyż dał możliwość Porfiriowi-Diaz skoncentrować się i odciąć nam drogę do stolicy przez Otumbe. Już nawet wieczorem tego samego dnia ostrzeliwał nasz obóz, aby nas do

wymarszu niedopuszczyć. Z naszej strony chętnie byśmy bitwę przyjęli, lecz nie mając tyłów zabezpieczonych mogliśmy tylko stawiać czoło, sami niebędąc w stanie atakować. Przytem przeciwko naszym siłom zaledwie 6000 ludzi liczących, miał Porfirio-Diaz 17000 i choć niechętnych do ataku jednakże ostrzeliwujących nas bezustannie. Tak przetrwaliśmy na miejscu dwa dni i dwie noce, wciąż w pogotowiu wojennem, tracąc dużo ludzi wskutek nieustającej kanonady, nie mając okopów, aby ludzi ochronić. Nareszcie generał Marquez zdecydował się ruszyć z miejsca, lecz za późno, bo byliśmy już zupełnie otoczeni. W odległości mniej więcej jednej mili na naszej drodze ku Meksykowi, znajdował się most już zajęty przez nieprzyjaciół, a który trzeba było gwałtem odebrać, żeby mieć drogę swobodną. Należało przytem jaknajciszej ten zamiar przeprowadzić. O 10-tej więc wieczór, przyszedł rozkaz do naszego pułku huzarów wyruszenia i zajęcia mostu. Pomimo uwag naszego pułkownika, że nigdy nie słyszano, aby w nocy kawalerja miała zdobywać mosty, musieliśmy ruszyć, gdyż Marquez po użyciu nas w Atachoque niewątpił, że potrafimy rozkaz wypełnić. Ruszyliśmy zatem — stosownie do rozkazu w największej ciszy i głuchem milczeniu. Mieliśmy też z sobą Meksykańczyka, który na wezwanie, kto idzie, miał dać ich hasło i w ten sposób mieliśmy z nienacka, zagarniając straż przednią nieprzyjacielską, opanować most. Raptem w ciszy nocnej rozległ się znany okrzyk, kto idzie i w jednej chwili bez komendy ruszyliśmy naprzód. Ja byłem na czele drugiego szwadronu, obok mnie jechał Kheven-

hüller. Przyznam się, że w tej ciemnej nocy nie widząc nic przed sobą, serce mi się ścisnęło i trącając Khevenhüllera powiedziałem mu, teraz gramy *va banque!* Nie uszło parę minut tego pędu, kiedy mi się koń raptem w bok rzucił i rozległ się przed nami huk, świst gradu kul i błyskawice powtarzających się salw karabinowych. Most był zerwany i staliśmy nad brzegiem głębokiej rzeki. Zamiar był chybiony. Tracąc dużo ludzi byliśmy zmuszeni bezowocnie powrócić do obozu. Tam dopiero się pokazało, że brakował nam niemal cały pierwszy szwadron z rotmistrzem hr. Wickenburgiem na czele i wszystkimi oficerami. Żal był okrutny za nimi i za tak wielką stratą w naszym pułku.

Po tym nieudanym zamiarze zdobycia mostu i drogi swobodnej do Meksyku, zdecydował się Marquez ruszyć z San-Lorenzo i wracać bocznymi drogami przez góry do stolicy, gdzie nasza bytność była konieczną, aby przeszkodzić możliwemu jej powstaniu i połączeniu się z liberałami. Wskutek tego z powodu górskich dróg musieliśmy większą część naszego trenu pozostawić w haciendzie. O 3 więc rano dnia 10 kwietnia puściliśmy się w drogę w największej ciszy, ale nie w największym porządku. Każdemu mniej więcej wiadomo, o ile jest łatwo prowadzić wojsko naprzód, ale o ile trudniej, kiedy należy się cofać. Szczególnie Meksykanie tracą w tej chwili głowę i nie można ich przekonać, że często, by dobrze skoczyć, trzeba się cofnąć. Ja miałem jak najgorsze przeczucia i kpiąco odzywałem się do sąsiadów, że nasz wymarsz przypomina mi cofanie się wielkiej armji Napoleona z pod Moskwy

z tym samym rezultatem — tak wszystkie gatunki broni były pomieszane, jedne spiesząc się przed drugimi, piechota, artylerja, kawalerja, kto pierwszy dostanie się do miasta. Wszystko szło dobrze do 8 zrana. Nagle czoło kolumny się zatrzymało i ja z pułkownikiem pojechaliśmy naprzód dowiedzieć się przyczyny tego zatrzymania. Dojechaliśmy do miejsca, które wstrzymało pochód. Był to głęboki parów, na którym most na pół zwalony pozwalał zaledwie przejść piechocie, może pojedynczym kawalerzystom, ale żadną miarą armatom. Tu się dopiero pokazała bezradność tych ludzi. Zamiast wziąć się co żywo do naprawy mostu, mając tyłu ludzi pod ręką, jeneralicja meksykańska zdecydowała odrazu poświęcić armaty i aby nie wpadły w ręce nieprzyjacielskie wrzucić je do parowu. Zaraz się też zabrali do dzieła i armaty runęły z głośnym hukiem w głąb parowu. Teraz przychodziła kolej na jaszczyki z amunicją. Stałem nad samym brzegiem parowu, raptem gorący żar spalił mi twarz, huk przeraźliwy wstrząsnął powietrzem, ziemia zadygotała i cała nasza kawalerja unoszona przez rozszalałe konie, rozsypała się na wszystkie strony. To panowie oficerowie artylerji zapomnieli, że granaty przy silnym wstrząśnieniu mogły eksplodować i zapalić prochy. Prócz tego ryzykowaliśmy, że resztki mostu się zawalą i nasza kolumna przeciętaby została na dwie części. Po pół godziny potrafiliśmy się jako tako zebrać i przejść przez most choć już napastowani przez jeźdźców nieprzyjaciół, którym nasze cofanie dodawało otuchy.

Na odgłos strzałów, Meksykańczycy sprzymierzeni

czując nieprzyjaciela na piętach zaczęli uciekać tak, że nasz pułk będący prawie na czele pochodu znalazł się raptem zupełnie w tylnej straży. Co widząc nieprzyjaciel, sądząc, że my równie jesteśmy zdemoralizowani jak ich pobratymcy, wystawieni na ciągły ich ogień, zdecydowali się na nas napaść, wiedząc dobrze, że jak europejczyków rozbiją, Meksykanie nie będą w stanie sami się obronić. Puścili więc na nas całą swoją kawalerję. Ale nie liczyli na waleczność i karność naszych żołnierzy, których pomimo nieustającego ognia trzymaliśmy w rękę, każąc im jechać stępa. Patrząc na ich smutne twarze i widząc zniechęcenie, spojrzałem na pułkownika, który miał prawdopodobnie te same myśli i wątpiłem czy potrafimy jeszcze z tymi ludźmi zwyciężyć. Lecz czasu już nie starczyło na rozpamiętywania, gdyż nieprzyjaciel nacierał całą siłą, będąc już na kilkaset kroków odległości. W tej stanowczej chwili, pochylilem się do ucha pułkownika mówiąc mu, mój drogi, ty jeden jesteś w stanie coś z tych ludzi wydobyć, oni cię kochają i nie pozostawią w szttychu. Pułkownik w tej chwili odwrócił konia, pojechał na tył kolumny i niebawem usłyszałem jego donośną komendę, w tył zwrot. Ale jakież było moje przerażenie, gdy ujrzałem zaledwie ćwierć pułku posłuszną jego rozkazowi. Widząc Khevenhüllera opuszczonego, odezwałem się do oficerów mówiąc, kiedy nas żołnierze opuszczają, my przynajmniej naszego pułkownika nie opuścimy, śnać ci żołnierze nie są godni, abyśmy im przewodniczyli, naprzód za mną. Jak tylko nasi biedni żołnierze zoba-

czyli, że nie oglądając się na nich sami naprzód idziemy, wszyscy równocześnie się odwrócili i poszli w nasze ślady. Zderzenie nasze z nieprzyjacielem było tak gwałtowne i szczęśliwe, iż ocaliło nas, gdyż nieśmieli już zbyt zbliżyć się do nas.

Wracając jak zwykle z piosenką na ustach po szczęśliwie udanym ataku, spotkałem jednego oficera, ziomka mojego niejakiego Małachowskiego, z kulą w brzuchu, podtrzymywanego na koniu przez dwóch huzarów. Na jego twarzy rysowały się oznaki prędkiego zgonu. Tuż obok rotmistrz Thom z podwójnym cięciem szabli przez głowę, tak że mu skóra z włosami opadała na kołnierz i obficie krwawiła. W braku felczerów zeszedłem z konia i własną chustką obwiązałem mu głowę.

Szliśmy tak dalej ciągle napastowani ale z daleka, tracąc jednak dużo ludzi w ustawicznym ogniu, a szliśmy powoli, żeby piechota mogła zdążyć nienarażona na ataki, których zdemoralizowana i zmęczona nie mogłaby odeprzeć. Co do nas, ludzie i konie od wilji g. 10 wieczorem nie tylko nie odpoczęły, ale były w ciągłym marszu, ogniu lub ataku, to też osłabienie było ogólne. Nareszcie około 5 wieczór dotarliśmy do Texcoco w nadziei, że się tam pożywimy i chwilę odpoczniemy. Próżna nadzieja. Texcoco jak każda tameczna miescina składa się z ulic prosto wyciągniętych i krzyżujących się pod prostym kątem. Zaledwieśmy weszli do miasta już wszystkie wyloty ulic były przez liberałów zajęte, skąd nas nieustającym ogniem prażyli, zawsze jednak w odległości, pomni poważnej lekcji otrzymanej rano.

Nie było mowy o odpędzeniu ich, bo nie dawali do tego sposobności uciekając co chwila — lecz wracając jak tylko myśmy się oddalali. W tych warunkach nie było mowy o odpoczynku i lepiej było maszerować trzymając nieprzyjaciela z dala, jak mieć go za murami skąd bezkarnie nam dokuczał.

Maszerując ciągle, około północy przechodziliśmy koło folwarku, z którego budynków poważono się nas ostrzeliwać. Tego było nam już za wiele, więc część ludzi i oficerów zeszła z koni, żeby tych nieoglednych napastników ukarać. Z rewolwerami w rękę i szablą w garści skoczyliśmy na dziedziniec. Nasi żołnierze zapalili pochodnie, któreśmy zawsze mieli w pogotowiu i wyważywszy drzwi wchodowe, Khevenhüller i ja na czele wpadliśmy do izby, z której nas powitano salwą karabinową, szczęściem nieszkodliwą. W jednej chwili siedząc na karkach tych zbójów — wytępiłiśmy ich do ostatniego. Gorzej rzecz się miała w dalszych częściach folwarku, gdyż na odgłos strzałów reszta żołnierzy, która z nami nie mogła dostać się do izby myśląc, że nas pozabijano, i tak już mocno rozdrażniona ciągłym marszem, wpadła do wszystkich komnat i zaczęła mordować co żyło bez wyjątku. Z wielkim wysiłkiem potrafiliśmy wstrzymać rozjuszonych żołnierzy. Nareszcie około 7 zrana dowlekliśmy się literalnie do Meksyku. Bramy miasta zastaliśmy szczelnie zamknięte z rozporządzenia Marqueza, który uciekając, dzień przedtem przyjechał do miasta oświadczając, że cały korpus austriacki zginął. Dla piechoty urządzono kładki do przejścia przez zawodnione rowy miasta, my zaś mu-

sieliśmy brnąć wodą i brać kąpiel, która zresztą była dość na czasie. Na drugi dzień po naszym przyjeździe, już Porfirio-Diaz był pod murami miasta i całkowicie nas otoczył, odcinając wszelkie komunikacje zewnętrzne. Koniec tej nieszczęśliwej wyprawy był, że staliśmy 30 godzin w ciągłym ogniu bez odpoczynku nie mając najmniejszego pożywienia ani dla ludzi ani dla koni.

Straty nasze były bardzo wielkie i tak, bataljon strzelców austriackich Hammersteina, liczący przy wymarszu 470 ludzi wrócił w liczbie 110. Z naszego pułku padło zgórą 150 ludzi. Było jeszcze wielkie nasze szczęście, żeśmy potrafili dotrzeć do miasta, moje przekonanie było, że się już nie potrafimy uratować. Zawdzięczamy nasze ocalenie li tylko brakowi odwagi liberałów, którzy mimo dziesięciokrotnej przewagi nie ośmielili się na nas stanowczo uderzyć i rozbić.

Nasz niespodziewany powrót, po tem co był ogłosił Marquez o naszym rozbiciu, zrobił nadzwyczajne wrażenie na ludności tamecznej, przyzwyczajonej do tchórzostwa. Ale jaką nie była nasza radość, gdy na nasze spotkanie wyszedł cały nasz pierwszy szwadron prawie w komplecie. W opisanym poprzednio ataku nocnym na most, wpadłszy do rzeki wygramolili się na tamtą stronę, przejechali przez strzelającą piechotę, którą rozbili, przez cały nieprzyjacielski obóz i nie ścigani z powodu zamieszania i popłochu, który wszczęli, najspokojniej dojechali do Meksyku tracąc tylko jedenastu ludzi.

ROZDZIAŁ IX.

*W oblężonej stolicy. Ostatnia walka. Kapitulacja.
Wiadomość o śmierci cesarza. W drodze do Vera Cruz.*

Byliśmy więc oblężeni, a nasi wodzowie, generałowie meksykańscy okazali się tak niedołężnymi, że nawet nie próbowali utrzymać się przy pozycjach poza obrębem miasta, pozwalając nieprzyjacielowi bez najmniejszego oporu przecinać drogi i budować sobie szańce. W krótkim też czasie liberali postawili 40 armat grubego kalibru, z których bili bezustannie dzień i noc. Wszystko szło jeszcze jako tako do 15 maja. Tego dnia strzelali jakoś bardzo zawzięcie, a wieczorem widać było małe miasteczko Guadalupe, nie zbyt odległe całe oświetlone. Od tego też dnia rozchodziły się głuche wieści po mieście, o wzięciu Queretara i cesarza do niewoli. Marquez wszystkiemu stanowczo zaprzeczał, wydając biuletyny donoszące o zwycięstwach wojsk cesarskich i rozbiciu liberałów.

Wkrótce jednak zapasy żywności miasta się wyczerpały i głód zaczął wszystkim dokuczać. Dla koni zabrakło siana i jęczmienia, trzeba więc było koniecz-

nie zrobić wycieczkę poza miasto. Dnia 17 maja cała kawalerja i dwa bataljony strzelców ruszyły przez fort San-Cosme i natarły na nieprzyjaciela wypędzając go z jego okopów. W tym czasie mogliśmy swobodnie zbierać paszę dla koni i pod osłoną piechoty i armat fortecznych powracać do miasta z zapasem na kilka dni. Skutkiem jednak ścisłego otoczenia, głód wzmagał się z dnia na dzień. Jeden funt chleba dochodził do ceny 25—30 franków, później 25 funtów mąki kosztowało 500 franków nareszcie i tego zabrakło i przyszła chwila, w której wcale już chleba nie można było dostać. Wyrabiano rodzaj chleba z grochu, z kukurudzy i to po niemożliwych cenach. Wszędzie jadano koninę, bo wołowina za żadną cenę nie była do nabycia.

W tych czasach straciliśmy naszego pułkownika Hammersteina, który oglądając lornetką pozycję liberałów, nieostroźnie wysunął głowę ponad szkarpę okopu i został trafiony kulą karabinową w samo czoło. W stanie bezprzytomnym przywieziono go do miasta, gdzie jeszcze mogłem go pożegnać, choć nikogo już nie poznawał. Był to Hanowerczyk rodem, wielkiej zacności i dobry mój przyjaciel. Nie cierpiał prusaków i dlatego służył w armji austriackiej. Wskutek wzmagającego się głodu, zdecydował się Marquez zrobić wycieczkę, ażeby wypędzić z szańców nieprzyjaciela i oswobodzić przynajmniej czasowo miasto od części pierścienia nas otaczającego, by dowieść potrzebne już ostatecznie prowianty.

W dniu 3 czerwca o godzinie drugiej zrana zebrałiśmy się około fortu San-Antonio Abato, strzelcy Ham-

mersteina, pułk nazwany Ijo de Mejico, nasz pułk i 900 koni Quirogi. O 5 zrana jak tylko zaczęło dzień, piechota wysunęła się z fortu i przypuściła szturm do szańców. Dobiegłszy pod same okopy znalazła się nad głęboką fosą napełnioną wodą, nie do przebycia. Tu przaył ją nieprzyjaciel na kilka kroków odległości, a nieopatrność dowódców puściła ich do ataku nie dając ani drabin ani faszyn do zasypywania rowów. My zaś, którzy po wzięciu szańców mieliśmy gnać rozbitych liberałów, staliśmy bezradni na odkrytem miejscu pod samemi szańcami, gdzie nas posunięto naprzód. Szczęściem, że mgły ranne połączone z gęstym dymem prochów, tak zaległy okolicę, że na parę kroków nic nie było widać. Ostatecznie wysunęliśmy naprzód dwie armaty i na 20 kroków odległości zasypywaliśmy ich kartaczami. Wszystko to jednak nie prowadziło do celu, gdyż fosy nie można było przebyć i pomimo nadzwyczajnych wysiłków naszej piechoty, która kilka razy z rzędu szance zdobyła, nie mogła się jednak przy nich utrzymać, nie będąc popartą. Żeby koniec położyć tej rzezi, gdyż walczone na kilka kroków odległości, musiano się z powrotem do miasta cofnąć nie wskórawszy nic i tracąc mnóstwo ludzi. I tak z bataljonu Hammersteina z 18 oficerów jeden jedyny wrócił nietknięty i żywy. Ogień był tak gwałtowny, że niektórzy oficerowie, którzy byli przytomni bitwie pod Solferino, utrzymywali, że w tej małej potyczce gwałtowność starcia była prawie większą niż w tej wielkiej bitwie.

Tego dnia byliśmy rzeczywiście pod opieką Opatrzności, gdyż kule i granaty padały koło nas jak grad.

Stałem na czele pułku obok Khevenhüllera, gdy granat padł między nami, rykoszetował o kamień, wzbił się ponad naszymi głowami i w górze pękł nie robiąc szkody nikomu. Taka to była nasza ostatnia wycieczka.

Piętnastego czerwca 1867 roku gruchnęła wieść po mieście, że posłaniec cesarski przyjechał przywożąc wiadomość o jego zwycięstwie i powrocie. Ogromna radość zapanowała w całym mieście. Zaczęto bić w dzwony po wszystkich kościołach i strzelać z wież z fortów, na znak prędkiego uwolnienia. Radość ogółu była nadzwyczajna i nie mogłem się dosyć nadziwić, jak jednak cesarz był lubiany przez tych, którzy go znali. Radość była jednak krótkotrwała. Całą tę komedję zainscenizował generał Marquez, czy aby swobodnie móc uciec przebijając się przez wojska nas otaczające, starając się przekonać wiernych jeszcze żołnierzy, że jedzie na spotkanie cesarza, czy żeby uspić czujność wojsk austriackich, które mu już nie ufały, dosyć, że wracającego z Queretaro generała Ameliano namówił, żeby tę komedję odegrał i jako posłaniec cesarski się przedstawił. Tymczasem 18 czerwca wieczorem otrzymaliśmy depezę od barona Lago, pełnomocnika austriackiego, donoszącą nam o wszystkim co zaszło w Queretaro, to jest o wzięciu cesarza do niewoli, przytem rozkaz jego i życzenie, aby nadal już nie było krwi rozlewu w jego sprawie. Równocześnie była do tego dołączona propozycja generała Porfirio-Diaz, ofiarująca nam bardzo zaszczytną kapitulację.

Wszystkie te wiadomości, które nas doszły z nieprzyjacielskiego obozu, a raczej przezeń, doręczyliśmy

w tej chwili generałowi Tabera, naczelnikowi miasta, wykazując mu oszustwa Marqueza. Zaraz też udano się do generała Ameliano, który się przyznał do kłamstwa z namowy Marqueza, następnie do tego ostatniego, którego zmuszono do podpisania dymisji i oddania władzy w ręce generała Tabery.

Wśród tych zajść, czas przeszedł dla nas do 20 czerwca w pertraktacjach o warunki naszej kapitulacji, którą w tym dniu podpisaliśmy. Warunki były krótkie i zwięzłe.

Artykuł I zaręczał życie cesarza i każdego cudzoziemca,

artykuł II prawo zatrzymania broni i bagaży,

artykuł III wolne przejście do Vera-Cruz całego wojska na koszt i utrzymanie Rzeczypospolitej Meksykańskiej.

Następne artykuły omawiały małe szczegóły, które później pokazały się niewykonalne i zostały zmienione. Naprzykład: 21 rano mieliśmy wszyscy wyruszyć do obozu nieprzyjacielskiego. Swoją drogą generał Tabera układał się z swej strony w imieniu załogi, lecz Porfirio-Diaz nie chciał się z nimi układać inaczej jak tylko na zasadzie bezwzględnego poddania się.

Dnia 20 wieczorem po przyjsciu do skutku naszej kapitulacji, nieprzyjaciel otworzył ogień z wszystkich swych dział ku miastu. Ponieważ publiczność nie była uwiadomioną o naszych pertraktacjach i była to godzina spaceru po Almeidzie, wszczął się niesłychany popłoch. Co żyło uciekało, powozy, jeźdźcy i piesi

w przekonaniu, że to atak ogólny, po którym nastąpi wkroczenie liberałów do miasta.

Właśnie w tej chwili znajdowałem się na końcu ulicy de Los Plateros i sam myślałem, że nastąpi ogólny szturm po zerwaniu układów z wojskami cesarskimi. Przyspieszyłem więc kroku i dostałem się do naszych koszar, w których już zastałem wszystkich naszych oficerów oraz żandarmerję, strzelców konnych i pieszych. słowem wszystkie oddziały cudzoziemskie, które się do nas przyłączyły, aby nazajutrz podług warunków kapitulacji razem wyruszyć ku obozowi nieprzyjacielskiemu.

Po kanonadzie nastąpiła głucha cisza. Nikogo na ulicach nie było widać. Skorzystałem z tego względnego spokoju, aby sprowadzić moje pakunki do koszar, potem poszedłem na obiad do domu, następnie udałem się do zaprzyjaźnionego mi domu pani Pugi, w której córce się kochałem i gdzie wszystkich zastałem w ogromnem przerażeniu. Ze łzami w oczach błagały nas te panie, aby się kryć i niedowierzać ich rodakom, których one dobrze znają, zaręczając, że żadnych warunków nie dotrzymają i nas jak baranów zarzną, skoro im się w ręce dobrowolnie oddamy. Trudno mi było niezmiernie uspokoić te panie i powrócić do koszar. Była to rodzina bardzo z nami zaprzyjaźniona; panna Puga kreola z rudemi włosami i cerą odpowiednią, odróżniająca się od swoich współziomek, zwykle dosyć ciemnej barwy i czarnych włosów, była śliczną. Wiedziałem, że nie byłem jej obojętnym i byłbym może zdecydował się z nią ożenić, gdyby nie odległość. Cze-

kając na zezwolenie rodziców ślub by odwłókł się na kilka miesięcy, a tu trzeba było na gwałt wyjechać.

Wracając do pałacu cesarskiego spotkałem tam Eloina, który się do nas przyłączył. Około północy zakomunikował nam Porfirio-Diaz za pośrednictwem konsula amerykańskiego, że już niepotrzebujemy wyruszać do obozu liberałów, gdyż załoga miejscowa poddała się bezwarunkowo, a rano on sam wkroczy do miasta. Naturalnie całą noc nie zamknęliśmy oka. O 4 zrana wywiesiliśmy białą chorągiew, a o 7 wkroczył nieprzyjaciel w największym porządku, otaczając pałac, w którym się znajdowaliśmy i kierując wyloty swych armat ku publiczności, prawdopodobnie aby nas chronić przed możliwym zamachem fanatyzmu republikańskiego. Po chwili nadjechał konno sam generał Porfirio-Diaz, a wstąpiwszy do pałacu i niezmiernie wzruszony oświadczył pułkownikowi Kodoliczowi, że pomimo jego woli nieszczęście się stało, że 19 cesarza rozstrzelano w Queretaro. Błagał przytem pułkownika, aby dał rozkaz nikogo z koszar nie wypuszczać, by uniknąć jakiego nieszczęścia. Wiadomość była dla nas do najwyższego stopnia deprymującą. Jeżeli nie dotrzymani pierwszego punktu kapitulacji, to mogliśmy przypuszczać, że i dalszych nie dotrzymają. Tymczasem przeciwnie się stało. Czy śmierć cesarza ich przeraziła, przypuszczając, że Europa będzie chciała się zemścić? Nie wiem, lecz w każdym razie do naszego wyjazdu z Vera-Cruz zachowali się zawsze poprawnie. Prawda, że i rozkazy były wydane niesłuchanie surowe. Zakazanem było

pod karą śmierci znieważenie więźnia. Pod tą samą karą zakazanem było sprzedawanie gorących napojów wszelkiego gatunku, do trzech dni po wkroczeniu wojsk republikańskich. Później jednak wszystkie te zakazy zostały zniesione i mogliśmy swobodnie i o każdej godzinie chodzić do miasta i wracać kiedy nam się podobało. Tak przetrwaliśmy do 27 czerwca, w którym to dniu wyruszyliśmy z resztą wojska do Puebli. Jak było do przewidzenia, pożegnanie się moje z rodziną Pugów, szczególnie z panną Emilją, było, choć bardzo czułe, jednak bolesne. Nie zapomnę nigdy tej istoty, która była nam zupełnie oddaną i starała się zawsze nam w obcym kraju życie uprzyjemnić.

Kodolicz objął komendę naszej kolumny i mnie do swojego sztabu przyłączył. Bertrand i Khevenhüller pozostali jeszcze w Meksyku i jak się później dowiedziałem osobno sami powrócili do Europy. Droga nasza zupełnie spokojnie się odbyła do samej Puebli. Tam ulokowaliśmy się w hotelu des Diligences, lecz dowiedziawszy się, że nasz pobyt miał się przedłużyć, razem z Kodoliczem wynajęliśmy sobie mieszkanie prywatne w mieście.

Oznaki współczucia, które nam wszędzie okazywano nie mało nas dziwiły. Nie tylko w wyższych klasach, w których żałoba była ogólna do tego stopnia, że wszystkie kobiety chodziły w czarnych strojach i ani jeden ekwipaż nie pokazywał się na spacerach publicznych, ale nawet między ludnością wiejską i miejską żałoba była również przestrzegana.

W kilka dni po naszym przybyciu zostaliśmy za-

niepokojeni plotkami rozpuszczonemi przez złych ludzi, donoszących, że przyszły rozkazy, aby się z nami obchodzono jak z zwykłymi jeńcami. Pokazało się, że to były tylko bajki. Podczas całego naszego pobytu na ziemi meksykańskiej po kapitulacji, okazywano nam zawsze najlepsze chęci i obchodzono się z nami na równi z wojskami Rzeczypospolitej.

Trafił mi się też podczas mojego pobytu w Puebli nadzwyczajny wypadek, który dla ciekawości opiszę. Żeby z mojego mieszkania dojść do hotelu des Diligences, gdzieśmy jadalni, trzeba było przejść po podkoszary liberałów. Zawsze szyldwach spacerujący przed bramą, widząc oficera zatrzymywał się i prezentował broń. Idąc tą drogą pewnego dnia przypadkowo spojrzałem w twarz żołnierza prezentującego broń i jakież było moje przerażenie, gdy w nim poznałem jednego z rabusiów, którego w nocy wracając z nieszczęśliwej wyprawy pod Texcoco przy zdobyciu folwarku pałaszem porąbałem. Czy to był ten sam człowiek, czy przywidzenie? Qui lo sa, jak mówią Hiszpanie, dosyć, że on najmniejszej na mnie nie zwrócił uwagi i dalej pełnił swą służbę.

Wkrótce potem dano nam znać, że fregata austriacka „Elizabeth“, pod dowództwem kapitana Gröllera przyплыła do Vera-Cruz i czeka, aby nas zabrać. Ruszyliśmy znów w drogę przechodząc przez miejscowości dobrze nam znane, gdzie nieraz w innych warunkach przejeżdżaliśmy. Te wspomnienia zasmucały nam i tak już ponury marsz, więc d'Equille i ja ruszyliśmy naprzód, żeby się prędzej wydostać z tego

przeklętego kraju. W Palmar opuściliśmy nasz korpus i przenocowawszy w Potrero u jednego mi znajomego Niemca, przyjechaliśmy 29 lipca 1867 roku do Vera-Cruz. Wyjeżdżając z Potrero rano, dostaliśmy się około południa na ostatni pagórek, nazwany la Chicuite skąd oczy nasze objęły z radością niezmierne obszary morza rozciągającego się w dal przed nami. Niewymowną radością przejął nas ten widok, zapowiadający powrót do kraju i rodziny, którąśmy przed trzema laty opuścili pełni nadzieji. Lecz jakie krwawe i przykre wspomnienia tych trzech lat. Ilu przyjaciół straconych i ile złudzeń? Jedną pozostawała nadzieja, to połączenie z rodziną i krajem.

ROZDZIAŁ X.

Przez Nowy Jork do Europy. Uczucie co przetrwało.

W kilka dni potem połączywszy się z resztkami naszych wojsk, wsiedliśmy na okręt Elisabeth 5 sierpnia i odплыnęli ku Nowemu Orleanowi. Tam nas nowe przykrości czekały. Na statku wybuchła żółta febra, którąśmy z Vera-Cruz z sobą zawlekli, wskutek czego naznaczono nam 10 dni kwarantanny na Missisipi i niepozwolono wylądować.

Wpływając z pełnego morza do wspaniałej rzeki Missisipi, tyle tylko się jest tego świadomy, że morze wskutek ogromnego dopływu tej rzeki, jest na żółto zabarwione. Brzegów zaś długo jeszcze nie widać, które się po kilkugodzinnej jeździe statkiem parowym dopiero na horyzoncie zarysowują.

Kwarantanna była bardzo surowa, bo nawet pieniądze płacone za dostawy jarzyn i wiktuałów, były w woreczkach na długich żerdziach umieszczonych odbierane i natychmiast moczone w dezynfekujących preparatach. Otóż w ostatnich dniach dozwolono nam partjami opuszczać statek i wylądowywać ale nie

w mieście. Przechadzając się z towarzyszami wstąpiliśmy do rodzaju szynku, aby się czegoś napić. Żyd postępujący nam słysząc mowę polską zwrócił się do nas pytając czy my z Galicji, bo przed laty stamtąd wyemigrował. Zdziwienie nasze było równie wielkie jak i jego.

Po odbytej kwarantannie podpłynął duży transportowy okręt pod naszą fregatę, przesiedliśmy się na niego odpływając do Nowego Jorku. W Nowym Orleanie pozostał Kodolicz, który stamtąd już na własną rękę pojechał.

Dziwna była budowa tego amerykańskiego okrętu, widocznie budowany był dla spekulacji, aby pomieścić jaknajwiększą liczbę podróżnych, gdyż maszyny były na pokładzie, co oprócz przykrego zapachu gorącej oliwy używanej do smarowania, jeszcze miał tę przykrą stronę, że z powodu ciężaru maszyn stojących na pokładzie tak się okręt kołysał, że przy trochę przykrzejszem morzu zdawało się, że nie utrzyma równowagi i że się przewróci dnem do góry. W okolicach Florydy napotkał nas, jak to nazywają Francuzi, *un grain*, miał w tem swoją oryginalność, że widać było jak się do nas z szybkością przybliża. Jeszcze pod nami było morze spokojne, a o paręset kroków już się wściekle pieniało i po chwili nas równie zaskoczyło. Przejeżdżając w tych okolicach przez sławny prąd Golf-Strom, uwagę naszą zwróciła odróżniająca się wśród morza struga tego prądu, bo oprócz bardzo znacznej różnicy temperatury wody, znać go wyraźnie i wartko płynie wśród fal morskich.

Dojechawszy do Nowego Jorku już w tej wspania-

lej przystani czekał na nas pasażerski okręt, Western-Metropolis, najęty przez konsula austriackiego dla naszego przewozu do Bremy. Mieliśmy tylko czas, aby się przesiąść i zaraz popłynęliśmy w dalszą drogę. Przypatrywali nam się z ciekawością pasażerowie bo nie mając cywilnych ubrań, byliśmy wszyscy w mundurach dość jaskrawych, czerwonych srebrem szameryowanych. Po ulokowaniu się w mojej kabinie wyszedłem na pokład, żeby się jeszcze przypatrzeć tej ziemi amerykańskiej, od której pełną parą się oddalaliśmy, muszę się przyznać z uczuciem wyzwolenia. Wtem młoda Amerykanka drobniutka, a ładna jak laleczka, przybliżyła się do mnie pytając, czy mówię po angielsku?

Na przeczącą odpowiedź, łamaną francuzczyzną zaczęła się dopytywać mocno zaciekawiona naszymi przejściami, króre wtedy śmiercią tragiczną cesarza rozgorączkowały świat cały. Stąd bliższa znajomość, zapoznałem się i z matką i dowiedziałem się, że Mrs. Baldwin jedzie z córkami do Drezna na ukończenie ich wykształcenia. Drugi równie ciekawy pasażer, był książę de Penthievre, syn księcia de Joinville, wracający z podróży naokoło świata w towarzystwie już wtedy znanego literata pana Roger de Bauvoir. Zaznajomiłem się z księciem, który był równie ciekawy dowiedzieć się o szczegółach naszej wyprawy i dramatu w Queretaro. Odbywaliśmy długie spacery na pokładzie, opuszczonym przez pasażerów podczas wzburzonego morza, lecz nas wytrzymałych na kaprysy Neptuna i nieoddających mu daniny, jak zwykle większa część śmiertelników, te kaprysy z pokładu nie spędzały. Książę, jako wygna-

niec, nie mógł powracać na francuskim okręcie, żegnając mnie w Cowes dał mi swoją fotografię z dedykacją, en souvenir de notre traversée sur le Western-Metropolis, Septembre 1867.

Długa podróż wskutek tych znajomości przeszła prędko, mogę nawet powiedzieć za prędko, bo cóż dziwnego, że w moim wieku, ta ładna i swobodna Amerykanka dająca mi lekcje angielskiego bardzo mi przypadła do serca. W Cowes zachciało się jej koniecznie zwiedzić zamek królewski w Osborn i mnie na tę wycieczkę namówiła. Na moje pytanie, kto z nami jedzie, odpowiedziała zdziwiona, po co? a jeszcze więcej ją zdziwiło pytanie, czy jej matka się na to zgodzi. Dziwna swoboda i wolność dziewcząt amerykańskich i dotąd nie mogę osądzić co lepsze, czy nasze czy ich wychowanie.

Nająłem łódkę, wsiedliśmy do niej razem i pojechaliśmy do miasta. Tam po śniadaniu w restauracji wynająłem powóz i pojechaliśmy do Osborn. Ponieważ byłem w uniformie wszędzie oddawano mi honory wojskowe i bez najnniejszej przeszkody pozwalano nam oglądać ogrody słynnego zamku królowej Wiktorji. Po powrocie na statek zaraz odплыliśmy w dalszą drogę ku Bremie, przeznaczonej na nasze wylądowanie. Jeszcze przed dopłynięciem do Bremy pożegnałem się bardzo serdecznie z czarującą Miss Baldwin, obdarzony jej fotografią i obietnicą widzenia się w Dreźnie.

Obiecanka cacanka, jak mówi przysłowie i wspomnienie tylko zostało, tyle trwałe co życie róży.

W Bremie czekał na nas konsul austriacki i pociąg specjalny, którym bezzwłocznie wyjechaliśmy do Pragi nie zatrzymując się nigdzie. Tam nazajutrz oddałem w ręce dowódcy miasta generała Supansicza cały mój oddział i wolny od obowiązków odjechałem pierwszym pociągiem do Krakowa.

Pomimo radości, że po trzechletnich różnych przejściach znajduję się znowu na tej starej europejskiej ziemi, nie mogłem się pozbyć uczucia wylądowując w Bremie, jak ta ziemia wydała mi się mizerną i brudną. To było pierwsze i mimowolne uczucie, żadną przykrością nie wywołane, a zatem prawdziwe. Oko od trzech lat przyzwyczajone do wspaniałej i bujnej roślinności południowej, następnie do olbrzymich rozmiarów Ameryki północnej, choć tylko przejściowo widzianych, czuło się obrażone małostkowością Europy tak co do budynków jak i roślinności.

Tak się skończyła ta wyprawa, która dzięki Bogu pozwoliła mi powrócić cało w progi rodzinne, pozostawiając tylko burzliwe wspomnienia lat młodzieńczych i dozę nabytych doświadczeń, niechroniących mnie jednak nadal od złudzeń i zawodów życiowych.

W 30 lat po moim powrocie, otrzymałem przez Konsulat Meksykański w Wiedniu list panny Emilji, donoszący mi, że żyje i że zachowała miłe wspomnienia o naszym pobycie. Naturalnie odpowiedziałem łamaną hiszpańszczyzną, że również i ja zachowałem najmilsze wspomnienia czarującej naszej opiekunki. W kilka miesięcy potem tą samą drogą odebrałem od panny

Emilji pudełko, zawierające szkaplerz Najświętszej Panny z Guadalupy i chustkę batystową własnoręcznie haftowaną mającą, podług zwyczaju tamtejszego, przykryć moje oblicze po śmierci. Dowód niezbity, że prawdziwa przyjaźń pokona przestrzeń i czas.

K o n i e c.

(1) The first part of the paper is devoted to a general discussion of the problem of the existence of a solution of the system of linear equations $AX = B$ where A is a matrix of order n and B is a vector of order n . It is shown that a necessary and sufficient condition for the existence of a solution is that the rank of A is equal to the rank of the augmented matrix (A, B) .

(2) In the second part of the paper the author considers the problem of the existence of a solution of the system of linear equations $AX = B$ where A is a matrix of order n and B is a vector of order n . It is shown that a necessary and sufficient condition for the existence of a solution is that the rank of A is equal to the rank of the augmented matrix (A, B) .

(3) In the third part of the paper the author considers the problem of the existence of a solution of the system of linear equations $AX = B$ where A is a matrix of order n and B is a vector of order n . It is shown that a necessary and sufficient condition for the existence of a solution is that the rank of A is equal to the rank of the augmented matrix (A, B) .

SPIS ROZDZIAŁÓW.

	str.
ROZDZIAŁ I. — Nagła decyzja. Wstąpienie do wojska. Pożegnanie się z rodziną. Odjazd z Triestu	5
ROZDZIAŁ II. — Wybrzeża Włoch. Polowanie par force. Ofiara burzy. Martynika	16
ROZDZIAŁ III. — Vera Cruz. W drodze w głąb kraju. Garnizon w Puebli. Na północ za bandytami. Z depeszami w stolicy	30
ROZDZIAŁ IV. — Marsz do południowego Meksyku. Nominacja na oficera. Pobyt w Oajace. Niefortunny epizod majora Kleina	61
ROZDZIAŁ V. — Wśród pory deszczowej z powrotem w okolice Puebli. Utarczka pod Tehuacan. Śmierć porucznika Kaweckiego. Nowy Rok 1866. Trzęsienie ziemi. Awans	76
ROZDZIAŁ VI. — Przez góry ku Oceanowi Spokojnemu. Nieudała akcja pod Soyaltepec. Odwrót do Tehuacan	91
ROZDZIAŁ VII. — U stóp Popocatepetl. Straty w korpusie oficerskim. Potyczka pod Tlaxcala. Najście Tlaxcala przez Republikanów. W oczekiwaniu abdykacji cesarza. Rozwiązanie korpusu. Rok 1867. Powrót z cesarzem do stolicy. Mój awans i dekoracja	110

	str.
ROZDZIAŁ VIII. — Ekspedycja przeciw Porfiriowi Diaz. Szarża huzarów Khevenhüllera. Zgubna zwłoka w mar- szu. W ogniu tylnej straży	134
ROZDZIAŁ IX. — W oblężonej stolicy. Ostatnia walka. Ka- pitulacja. Wiadomość o śmierci cesarza. W drodze do Vera Cruz	148
ROZDZIAŁ X. — Przez Nowy Jork do Europy. Uczucie, co przetrwało	158

no. 20

Biblioteka Uniwersytetu
M. CURIE-SKŁODOŃSKIEJ
w Lublinie

A 10036



1000174996